NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 13 kwietnia 1912. Nr. 15.

Śnieżyce w kwietniu.

(Treść na str. 2).



Nr. 15 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Powstanie w Meksyku. — Niedziela wielkanocna w Jerozolimie. — Rodzina bohatera chińskiego. — Republikanie w Hiszpanii. Wielbłądy na wojnie. — Translokacye wojskowe w Galicyi. — Katastrofa pociągu ekspressowego. — Konkurs wodnych aeroplanów. — Słońce jako motor. — Wiejski kurs gorseciarstwa. — Zgon wybitnego technika. — Ulepszenia pocztowe w Anglii. — Szkoła rzemiosł budowlanych w Jarosławiu.

Snieżyce w kwietniu.

(Do illustracyi tytułowej).

Wiosna sprawiła nam na święta prawdziwą niespodziankę. Po kilkunastu dniach pięknej pogody, kiedy już ruń zielona zaczęła pokrywać łąki, a drzewa pędzić soki do pąków, wiosna kapryśnie zmieniła swe zachcianki i na zmianę rzuciła nam w twarz tumanami śniegu.

Nad całą wschodnią Galicyą w ubiegłym tygodniu rozszalała się olbrzymia burza śniegowa, która trwała kilka dni. W przeciągu kilku godzin, drogi, tory kolejowe, miasta zasypane zostały tak śniegiem, że ustał wszelki ruch kołowy, z powodu śnieżnych zasp. Rozpędzone pociągi stanęły, gdyż lokomotywy nie mogły przebić grubego pokładu śniegu, który leżąc na szynach zatamował drogę.

Dawno już nie pamiętają ludzie roku, w którym następowałyby tak wielkie zmiany temperatury. Najbardziej ucierpiał Lwów. Nie tylko bowiem całe miasto zostało formalnie zasypane lawiną śnieżną, ale wicher, towarzyszący tej białej burzy, poczynił w mieście, parkach i ogrodach miejskich ogromne spustoszenia. Zarazem, co najgłówniejsze, wiatr przerwał i pomieszał druty przewodów telegraficznych i telefonicznych tak, iż Lwów przez kilkanaście godzin był zupełnie od świata odcięty i niedostępny. Ulice zawalone śniegiem przedstawiały oryginalny widok. Ponieważ śniegu nie można było odrazu uprzątać, przechodnie wydeptywali sobie wąskie przejścia z jednej strony ulicy na drugą. Gromadami całemi czekano więc przy takich przejściach, gdyż tylko jedna osoba mogła przedostać się na drugą stronę. A jeśli zdarzył się ktoś bardziej niecierpliwy, to spiesząc się, wpadał w śnieg i błoto po kolana.



Snieżyce w kwietniu: Ogród Jezuicki we Lwowie po śnieżycy kwietniowej.



Śnieżyce w kwietniu: Park Kilińskiego we Lwowie podczas świąt wielkanocnych.

Nie obeszło się bez wypadków i poważniejszych katastrof.

W czwartek rano zamieć śnieżna spowodowała wielką katastrofę kolejową pod Tarnopolem. W odległości około dwóch kilometrów od Tarnopola ugrzązł w śniegu pociąg osobowy, dążący do Tarnopola. Wysłano mu z Tarnopola maszynę ratunkową. Tymczasem lokomotywa ta tak energicznie rozbijała zaspy śniegowe, że w rozmachu wpadła na zasypany pociąg, raniąc przeszło dwadzieścia osób, w tem sześć dosyć ciężko.

Nie lepiej powiodło się arcyks. Karolowi Franc. Józefowi. Jechał on z Kołomyi i przez Stanisławów chciał dostać się do Chyrowa. W pobliżu Stryja specyalny pociąg, w którym jechał arcyksiążę ugrzązł w śniegu i dopiero cały oddział wojska zdołał go odkopać. Ze Stryja nie można jednak było dalej ruszyć, arcyksiąże udał się więc do Lwowa, aby tą drogą dotrzeć do Chyrowa. Niestety, wyczekawszy się na lwowskim dworcu kilka godzin, musiał powrócić do Kołomyi, gdyż śnieg wszędzie drogę mu przeciął.



Republikanie w Hiszpanii: Dom w Oporto, zburzony przez eksplozyę w rewolucyjnem laboratoryum do fabrykowania bomb.



Śnieżyce w kwietniu: Ul. Karpińskiego we Lwowie zasypana śniegiem.

Taka zadymka śnieżna trwała przez kilka dni i zrządziła znaczne szkody.

O Kraków zawadziła burza śniegowa tylko nieznacznie, ale wicher i deszcz i tu dały się we znaki. Snieg jednak ubielił dachy tylko w drugi dzień świąt nad ranem, dając miastu wygląd zimowy... Dopiero południowe słońce przywróciło znowu tryumf wiośnie.

Zato jako wspomnienie po huraganie pozostały na plantach powywracane drzewa, rozwalone kominy



Republikanie w Hiszpanii: Gruzy domu w Oporto, zburzonego wybuchem przy fabrykowaniu bomb przez rewolucyonistów.



Translokacye wojskowe w Galicyi: Przybycie 11 pułku huzarów z Węgier do Przemyśla.

na przedmieściach oraz dziury w dachach, gdzie wicher powyrywał dachówki i blachy.

Powiew zimy dał się odczuć nie tylko w Krakowie i Galicyi, ale także w całej środkowej Europie. Zarówno na Węgrzech, jak i w południowej Austryi nastąpiły silne opady śniegu, które spowodowały liczne katastrofy. Podobnie jak Lwów, był także i Budapeszt przez kilka dni odcięty od świata. W Karyntyi na górze Hochberg wiatr zmiótł w czasie wycieczki turystycznej jednego z narciarzy z wysokości 600 m. w przepaść. Także w Alpach wydarzyło się kilka mniejszych wypadków.

Tytułowa illustracya przedstawia katastrofę pod Tarnopolem.

Republikanie w Hiszpanii.

Hiszpania, położona pomiędzy republikańską Francyą a Portugalią, która niedawno przekształciła się także na republikę, jest widownią coraz gwałtowniejszej agitacyi republikańskiej... Wprawdzie rząd monarchiczny okazał się dość silnym, aby stłumić ostatni wybuch rewolucyjny na południu państwa, ale nie osłabiło to rewolucyjno-republikańskich knowań. Swiadczy o tem przypadkowy wybuch, jaki nastąpił w tych dniach w domu fryzyera Costa Leala w Oporto... Jak się okazało, mieściło się tam laboratoryum do fabrykacyi przyrządów wybuchowych. Republikanie, w ukryciu przed okiem policyi, zajmowali się tam fabrykacyą bomb, których zamierzali użyć w walce z obecnym rządem. Skutkiem jednak nieostrożności jedna z przygotowanych bomb eksplodowała, a całe laboratoryum wyleciało w powietrze. Eksplozya pociągnęła za sobą straszne skutki. Dom został doszczętnie zniszczony, a pod jego gruzami zginęło kilkudziesięciu ludzi, a między nimi republikanin rewolucyonista, zajmujący się fabrykacyą bomb, fryzyer Leal...



Powstanie w Meksyku: Przywódca rewolucyonistów meksykańskich, jen. Zapała (X) w otoczeniu swego sztabu

Powstanie w Meksyku.

Od szeregu miesięcy Meksyk jest widownią krwawych walk rewolucyjnych. Przeciw rządom prezydenta Madery, który niedawno objął władzę po obaleniu prezydentury znienawidzonego Diaza, nie uspokoiło się bynajmniej w kraju. Wiele do wrzenia przyczynia się rząd Stanów Zjednoczonych, który tylko czeka odpowiedniej chwili, aby wysłać swe wojska do Meksyku i zająć kraj ten, wcielając go do Unii. To też rewolucyoniści wszelkiego pokroju, którzy wichrzą w Meksyku, otrzymują ciche poparcie od władz Stanów Zjednoczonych. Polityka Stanów Zjednoczonych dąży w tym kierunku, aby rzekomo dla ochrony życia i mienia obcych poddanych



Translokacye wojskowe w Galicyi: Defilada przetranslokowanego do Przemyśla 11 pułku huzarów przed komendantem korpusu przemyskiego.

w Meksyku, wprowadzić tam wojsko i potem ogłosić aneksyę kraju.

Potwierdza te przypuszczenia fakt, iż przeciw rządom Madery wystąpili jego najbliżsi przyjaciele. Na czele rewolucyonistów stanął między innymi generał Zapała, który współubiegał się z Maderą o godność prezydenta i generał Orozco, serdeczny przyjaciel prezydenta.

Mimo jednak wszelkich wysiłków rewolucyjnej armii, udalo się Maderze zgnieść powstanie i na razie w Meksyku panuje spokój.

Czy jednak potrwa on długo, należy wątpić, gdyż osobiste ambicye i intrygi zaborczej sąsiadki wcisną znowu broń do ręki rewolucyonistów.

Translokacye wojskowe w Galicyi.

Wśród licznych translokacyi wojskowych, dokonywanych ostatnimi czasy w monarchii austro-węgierskiej, z wiosną r. b. zmieniono całą prawie kawaleryę w Przemyślu. Niedawno przeniesieni tam husarzy 3 i 13 pułku zostali z powrotem translokowani do Węgier, a na ich miejsce przybyli dragoni (6 pułk pod dowództwem pułkownika Retticha), a 4 b. m. 11-ty pułk huzarów z Węgier pod dowództwem majora Minnicha.

Przybywających do Przemyśla huzarów powitali delegaci wszystkich miejscowych pułków z komendantem korpusu jen. Kummerem na czele oraz orkiestra 9 pułku. Nowo przybyły pułk huzarów przy dźwiękach orkiestry wmaszerował do miasta, poczem nastąpiła defilada przed oczekującym komendantem korpusu.



Niedziela wielkanocna w Jerozolimie: Arcybiskup ormiański w otoczeniu duchowieństwa udziela błogosławieństwa.

Niedziela wielkanocna w Jerozolimie.

Swięta wielkanocne, obchodzone uroczyście w całym świecie chrześcijańskim, najwspanialej święci Jerozolima. Tam u grobu Chrystusa uroczystości kościelne łączą się bezpośrednio z świętem miejscem męki Pańskiej i przepotężne sprawiają wrażenie. To też w święta wielkanocne ciągną do Jerozolimy tysiączne rzesze pielgrzymów nawet z najdalszych okolic, aby wziąć udział w uroczystych nabożeństwach w kościele św. Grobu, gdzie wszystkie wyznania chrześcijańskie i obrządki mają swe kaplice.

W sobotę wieczorem odbywa się z wielką uroczystością rezurekcya... Wśród głębokiego wzruszenia kapłani wchodzą do kaplicy św. Grobu, z którego w kilka chwil potem buchają płomyki — jako symbol zmartwychwstania Chrystusa... Do świątyni kroczą duchowni w uroczystych procesyach, w otoczeniu niezliczonych tłumów...

Z tych uroczystości wielkanocnych w Jerozolimie podajemy w dzisiejszym numerze dwa momenty. Na jednej illustracyi widzimy arcybiskupa ormiańskiego, udzielającego błogosławieństwa zgromadzonym tłumom, druga przedstawia patryarchę jerozolimskiego, udającego się w otoczeniu duchowieństwa prawosławnego do kościoła św. Grobu.



Niedziela wielkanocna w Jerozolimie: Patryarcha jerozolimski w otoczeniu prawosławnego duchowieństwa udaje się do kościoła św. Grobu, gdzie ma odprawić uroczyste nabożeństwo.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

12)

— Ręczę, że to łóżko Irenki, takie białe, niewinne jak ona sama — wskazał na łóżko z białą kapą.

— Fałszywy adres — zaśmiała się Irenka — bo to łóżko mamy.

— To trochę dziwne — ukrył zmieszanie — tobie do twarzy w białem i jestem pewny, że tu — wskazał na stolik z książkami — marzysz czytając poezye.

— Ach, jak to widać, że wuj z innej epoki — mówiła wesoło. — Nie marzę, a książki nie są zbiorem poezyi.

Radca przystąpił do stolika, wziął jedną książkę do ręki, a odczytawszy tytuł: „Historya literatury powszechnej", mówił z lekką przesadą:

— Otóż to lubię. Lektura poważna, nauczająca, a nie te jakieś wierszyki bez sensu, albo powieści, które tylko rozbudzają fantazyę, oddalają od życia, zohydzają praktyczność... i ja uznaję tylko taką poezyę jak ty, Irenko — spojrzał jej w oczy — te kwiaty — wskazał na dwa wazoniki chryzantemów.

— Jasiu, może obejrzysz nasz trzeci pokój?

— Ręczę, że brzydszy od tego — rozejrzał się po ścianach i zawołał:

— I żadnego obrazka nad łóżkiem nie masz Irenko?

— Jak wuj widzi.

— To nie wypada, anioł stróż powinien czuwać nad twemi snami... Kupię ci i sam powieszę.

— Jeśli oryginalny obraz, którego z naszych malarzy, będę wujowi bardzo wdzięczna. Byle nie tuzinkowy oleodruk lub banalna reprodukcya.

— O, wybredna jesteś, ale tobie wolno, i o ile spotkam coś ładnego, kupię ci — kończył niezbyt pewnym głosem, gdyż pomyślał o sumie dość znacznej, jaką musiałby wydać.

Dostrzegła to Czajkowska i mówiła pospiesznie:

— Ależ Jasiu, Irenka żartuje; u nas tak się złożyło, że nigdy nie zawieszaliśmy obrazków nad łóżkami.

— A, to co innego, jeśli już nie macie tego zwyczaju — odetchnął radca.

Wrócili do pierwszego pokoju, a na zaproszenie gospodyni, radca ledwie zajrzał do skromnie umeblowanej sypialni Romana, pytając obojętnie:

— A gdzie Roman?

— Zdaje mi się, że poszedł do doktora Lenckiego.

— Co? — zdziwił się — skądże ta przyjaźń? Czy był u was z wizytą?

— Nie wiem, jak ci mam powiedzieć. Będąc w sąsiedztwie u chorego, zaszedł do Romana, nas nie zastał, więc właściwie wizytą tego nazwać nie można.

— No, no, to dziwne.

— Co w tem wuj widzi dziwnego?

— Poznał was przez Paulisię i zaraz taka konfidencya z Romanem, a on dosyć trudny do znajomości.

— Widać, że wzajemna sympatya, bo i Roman bardzo go chwali.

— No, nie dziwię się, doktor skończył uniwersytet, wykształcony, z pozycyą, pochlebia to Romanowi.

Podrażniły te słowa próżność Czajkowskiej i powiedziała nie bez goryczy:

— U was panuje dziwna zaściankowość. Ciebie naprzykład dziwi, że dla Romana ma uznanie doktor, a w Warszawie żył Roman z inżynierami, doktorami, literatami, przemysłowcami, i to nikogo nie dziwiło, nie zwracało niczyjej uwagi.

— Wy tam żyjecie w anarchii, a my, w normalnych, uregulowanych warunkach. Ale, co będę z tobą dyskutował. Przypuszczam, że to jest podstęp doktora, ażeby okazać swe niezadowolenie z odmowy Paulisi i Klimci, wtedy po teatrze. Uprzedzam cię jednak, abyś była z nim ostrożna, bo on lubi złośliwe żarty.

— Lubi nie lubi, wszystko nam jedno — odezwała się Irena — to znajomość Romana nie nasza.

Nastało przykre milczenie, które przerwała Czajkowska:

— Jasiu, może pozwolisz herbaty?

— O, nie, to zawcześnie, niedawno jestem po kawie. Czyż nie przyjemniej porozmawiać? Byłyście gdzie za miastem?

— Tylko Irena z Romanem była na Błoniach i w Parku Jordana.

— No, co prawda, nie potrzebujecie chodzić bo i tak mieszkacie za miastem — uśmiechnął się. — Dzięki dzisiejszej wizycie przekonałem się, jak się ten Kraków gwałtownie podnosi. Poznałem nowe ulice, zabudowane, powstała nowa dzielnica, a pamiętam tu tylko ogrody.

— Jakto? — zaśmiała się Irena — przecież jednej nocy nie wyrosła dzielnica, a wuj o niej nie wiedział?

— Nie dziw się, taki jestem zapracowany — westchnął — jedyny mój spacer: z domu do biura, z biura do domu; no, i czasem na rynek.

— Ależ Jasiu, dla samego zdrowia powinienbyś używać więcej ruchu, spaceru — troszczyła się Czajkowska.

— I ja to wiem, i... gdyby tak z kimś miłym, przyjemnym... — spojrzał wymownie na Irenę — gotów byłbym pójść nawet na Błonia, albo i dalej.

— A niema wuj Klimci?

Radca skrzywił się nieznacznie, zrobił ruch lekceważący ręką:

— Uważasz — zaczął z niesmakiem — moja żona a twoja ciotka, to bardzo dobra kobieta, bardzo zacna, ale ona, i tak wychowała córkę, nie lubią natury, tak jak ty Irenko i ja. Dla nich wystarczają Planty... My z tobą zgodzilibyśmy się, lubię kwiaty, zieloną trawę...

— A czy wuj widział inną aniżeli zieloną? — zaśmiała się Irena — chyba na tych wypalonych, nagich Błoniach, które są parodyą roślinności.

— Nie mowię o Błoniach — zastrzegł się — masz zupełną zacyę; ale poszlibyśmy dalej, ku Woli. Tam są zboża, drzewa, bardzo pięknie, co?

— Nie, nie, do tego wuj mnie nie namówi — śmiała się — Zbóż teraz niema, tylko ścierniska, drzewa bezlistne, wszystko nagie i puste, możnaby dostać melancholii. Wolę już moje książki.

— Nie mówię teraz, ale tak, kiedyś... na wiosnę... a co do książek, może ci będę mógł jakich dostarczyć, coś tam ma Klimcia i Władyś.

— A jakie? — spytała z żywością.

— Hm... zapewne Kraszewskiego, Sienkiewicza, coś tam się znajdzie.

— A wuj nie czyta?

— Moja Irenko — skrzywił się — czyż ja mam czas na podobne głupstwa? Ja ciężko pracuję, trudno mi przeczytać wszystkie akta urzędowe, a ty chcesz abym czytał jakieś gryzmolenia bez ładu i składu, fikcye..

— Jasiu, i ty nigdy nie czytasz powieści?

— Nigdy, tego nie powiedziałem. Będzie temu lat osiem, jak mnie noga bolała, leżałem w łóżku i z nudów czytałem. A zresztą, pracuję dzień cały, jak koń w kieracie.

— Jasiu, a cóż Paulisia, czy zdrowa? i Klimcia?

— A prawda, zapomniałem ci powiedzieć, że Paulisia wybiera się tymi dniami do was. I mogłybyście już raz przestać się liczyć z wizytami, to nie wypada pomiędzy krewnymi.

— Byłam bardzo zajęta urządzeniem mieszkania... mam tyle kłopotów — westchnęła — Jasiu, nie wiesz nic o posadzie dla Romana?

— A, moja kochana Sabinko — rozłożył ręce — zrobiłem co mogłem, wystarałem się o doskonałą protekcyę. To trudno, trzeba czekać. Takiej posady jakiej chce Roman, nie wytrzęsie się z rękawa na poczekaniu. Czekać cierpliwie, w tem rzecz.

— Ale jak to trudno, Jasiu, pieniądze topnieją w ręku, na wszystkie strony płać i płać, a dochodów niema.

— Ja to rozumiem, ale innej rady na to niema, jak czekać.

W tej chwili wszedł Roman i widząc gościa, zawołał wesoło:

— Nareszcie wuj odwiedził nas — podał mu rękę — już przypuszczałem, że nieświadomie uraziliśmy czemś wuja.

— O, nie, ja przecież jestem wyrozumiały. A skąd ty wracasz?

— Raport, to raport — zaśmiał się Roman — Byłem w mieście, spotkałem się ze znajomymi z Warszawy i tak się zagadałem o tutejszych stosunkach...

— Romciu, czyż oni tu mieszkają? — spytała zainteresowana matka.

— Tak jest. Jeden od roku, a drugi krócej trochę.

— Cóż oni tu robią? — spytał radca — czy siedzą tak jak ty?

— Siedzieć, siedzą — uśmiechnął się — ale jeden z nich, jako inżynier, ma posadę rysownika technicznego, a drugi ma zajęcie w składzie węgla.

— Widzisz Romciu — westchnęła matka — oni mają posady.

— Dostanę i ja, prawda wuju?

— Właśnie tłómaczyłem to twojej matce: trzeba czekać.. ale kobiety są niecierpliwe i pojęcia nie mają o interesach... A byłeś u doktora?

— Już i o tem wuj wie? — spojrzał z uśmiechem na matkę i siostrę. — Tak, byłem a właściwie spóźniłem się i on mnie znalazł w cukierni.

— W której? — spytał poważnie radca.

— W Grand hotelu.

— No, no, ty chodzisz do Grandu? i to z tymi Warszawiakami? Tam nawet dla mnie za drogo. Ale cóż doktór?

— Doktor, nie mogąc się mnie doczekać, chciał iść do mnie, tu, do nas, ale właśnie spotkaliśmy się... zaprosiłem go herbatę, mama nic nie ma przeciw temu?

— Naturalnie, przecież to tak dobrze twój dom jak mój.

— I on przyrzekł? — mówił z niedowierzaniem radca — i na kiedyż to?

— Za trzy dni, czyli w piątek.

— A, to dzień nieszczególny na przyjęcie — zauważył radca.

— Czyżby wuj był zabonnny? — zaśmiała się Irena.

— Nie to, ale to dzień postny i przyjęcie droższej kosztuje, nie wystarczy szynka lub jakiekolwiek mięso.

— My nie obserwujemy postów — powiedział Roman — i przypuszczam że i doktor. Zresztą, na przyjęcie sadzić się nie będziemy.

— Możebyś jednak Jasiu, napił się z nami herbaty? Bardzo cię prosimy, samowar jest.

Radca spodziewając się, że przy dłuższej bytności znajdzie sposobność do porozmawiania z Ireną, zgodził się:

— A wiesz Sabinko, dawno nie piłem rosyjskiej herbaty i jeśli ci to różnicy nie zrobi, poproszę o szklankę.

— Zaraz Jasiu — wstała, podeszła do bufetu, zajrzała i przeszła do kuchni.

— Dawno nie widziałem Władzia — odezwał się Roman.

— On jest bardzo zajęty, nawet po nocach uczy się z kolegami.

— No, nie zawsze — uśmiechnął się Roman — zaszedłem raz dość późno do kawiarni i widziałem go grającego w bilard; gra bardzo dobrze.

— Hm... wiesz... to dla gimnastyki...

— A karty? czy też dla gimnastyki?

W tej chwili przez otwarte drzwi od kuchni zawołała matka:

— Proszę cię Romanie, na chwilę — i poleciła mu, ażeby poszedł do miasta i przyniósł wędlin i ciastek trochę.

Radca, zostawszy sam na sam z Ireną, był w kłopocie, jak flirt ma zagaić z taką młodą dziewczyną, wreszcie spytał:

— Irenko, lubisz ty cukierki, czekoladę?

— Lubię.

— To wiesz, jak się spotkamy, pójdziemy do cukierni, co? dobrze?

— Jeśli będzie czas po temu.

— Otóż mądrze powiedziałaś. Wszystko ma swój czas. Ale już my czas znajdziemy — uśmiechnął się do niej słodko. — Ty, mała figlarko, masz dobre oczy, i łatwo mnie dostrzeżesz w mieście, a takby mi było miło zaprowadzić cię do cukierni, kupić ci jaki kwiatek...

— Dziękuję wujowi — patrzyła nieco stropiona — tak mię dziwi ta łaskawość wuja...

— Wiesz, ja wam jestem bardzo życzliwy; tu, w Krakowie są tylko krewni mojej żony, a z moich, wy jedni, i tyś taka miła, taka naturalna... nie przeczę, Roman ma swoje zalety, ale co ty, to pozyskałaś mię sobie całkowicie.

— Komplement za komplement — zaśmiała się — ja z rodziny mamy najlepiej lubię wuja, co prawda innych krewnych nie znam.

— No, a zwiedziłaś już cały Kraków?

— Nie.

— To może pójdziemy kiedy na Skałkę?

— Bardzo chętnie, i z mamą, ale to tak trudno u mamy, taka zapracowana.

— O kim ty mówisz? — spytała Czajkowska wchodząc.

— Właśnie o mamie. Wuj jest tak dobry, że chce mi pokazać kościół na Skałce. Poszłabym ale i mamę chciałabym wyciągnąć, i tak mama nie zna Krakowa.

— Dlaczegóż masz czekać na mnie, wiesz jak mi trudno się wybrać, jeśli tylko wuj taki dobry i chce ci być przewodnikiem, korzystaj i idź.

— I ja tak myślę. Cóż, kiedy pójdziemy, Irenko?

— Przy sposobności umówimy się o czas, a teraz idę do gospodarstwa.

Zaczęła nakrywać do stołu, przeszła do kuchni, a radca i Czajkowska rozmawiali o stosunkach rodzinnych, o zaszłych zmianach, aż wreszcie przyszedł Roman, który oddał zakupy Irenie w kuchni.

Przy herbacie, radca dość długo i nudnie opowiadał o stosunkach urzędowych w sądzie, o swej pracy; powiedział kilka wątpliwych dowcipów, z których sam się śmiał najbardziej, kilka anegdot o naczelnikach swoich, i bardzo zadowolony z wieczoru wyszedł.

Wracając do rynku rozmyślał z przyjemnością o Irenie. Nie wątpił, że zrobił korzystne na niej wrażenie. Zgodziła się pójść z nim do cukierni, rada była obietnicy książek, i dała dowód prawdziwie kobiecej przebiegłości i sprytu, odsuwając oznaczenie czasu wycieczki na Skałkę do osobistego porozumienia się. A porozumie się z nim naturalnie przy spotkaniu.

Jednak, ta Paulisia ma racyę; no i te Warszawianki, to kokietki; przecież to rzecz wiadoma, że żaden mężczyzna nie ośmieli się zaproponować ko biecie schadzki bez jej milczącego upoważnienia.

Naturalnie i jemu do głowy by nigdy nie przyszło proponować cukiernię, Skałkę, gdyby nie jej spojrzenia, uśmiechy, któremi go zachęcała. O, te Warszawianki są jednak zepsute!

XII.

Na drugi dzień w południe, przyszedł Roman do domu i rozpromieniony zawołał z progu:

— Mamo, będę miał zajęcie, przypuszczam, wcale dobre.

— Chwała Bogu! jakże się cieszę! Irenko, słyszysz?

— Słyszę, słyszę, nie przeszkadzajcie sobie państwo, dowiem się później — odezwała się z drugiego pokoju.

— Mój Romciu siadaj i opowiedz mi szczegółowo, ty wiesz jak mię to interesuje.

Roman zapalił papierosa, usiadł wygodnie i zaczął z błyszczącemi oczyma:

— Przypadkowo spotkałem dzisiaj rano Stacha Szczukę, mama go nie zna, ale to bardzo porządny człowiek. Był korespondentem w fabryce Lilpopa w Warszawie.

— Szczuka? To bardzo dobra rodzina szlachecka. Słyszałam o Szczukach w Łowickiem. I on był korespondentem?

— Nie znam jego rodziny, wszystko jedno, szlachecka czy nieszlachecka, dość że on od czterech miesięcy siedzi tu, w tej dziurze, i napróżno szuka posady.

— O, tak, tu trudno — westchnęła matka.

— Rozgadaliśmy się i powzięliśmy plan założenia sklepu z wyrobami krajowymi.

— Alboż tu niema? — zdziwiła się.

— Przeszliśmy sumiennie wszystkie firmy sklepowe w przewodniku, pytaliśmy się kilku kupców poważniejszych, a ci zrobili na nas wielkie oczy, odpowiedzieli, że takiego sklepu nie było i nie ma, z wyjątkiem Bazaru krajowego.

— A widzisz Romciu, więc jest.

— Zaraz, mamo. Poszliśmy do Bazaru, ale niestety, nie zastaliśmy zarządzającego, przyjdzie dopiero o trzeciej... Sądząc z wyglądu, to jest sklep przedmiotów zbytkownych, a my mamy na myśli towary potrzeb codziennych. Perkale, barchany, wyroby bawełniane, sukna, pończochy i wogóle przedmioty pospolicie używane, ale wyrobu krajowego.

— Ach, Romanie, to takie ryzyko, sklep własny. Czy nie dogodniejby ci było mieć posadę spokojną, bezpieczną...

— Nie mogę, mamo, siedzieć tak z założonemi rękami. Poprostu chwyta mnie gorączka pracy. Co wysiedzę, czekając tak długo, aż póki...

— Nie znajdę stosownej protekcyi — dokończyła Irena wchodząc.

— Otóż to właśnie — zaśmiał się Roman — brak protekcyi wszystko tu uniemożliwia.

— A myślisz, że z tym sklepem dobrze ci pójdzie? — spytała matka.

— Przypuszczam. Głodny jestem mamo, i spieszę się.

— Zaraz podam obiad — wstała.

Przed godziną trzecią tegoż dnia, spotkał się Roman w umówionem miejscu ze Szczuką. Był to średniego wzrostu brunet, z twarzą poważną, surową z wyglądu, mimo stosunkowo młodego wieku, liczył bowiem trzydzieści pięć lat.

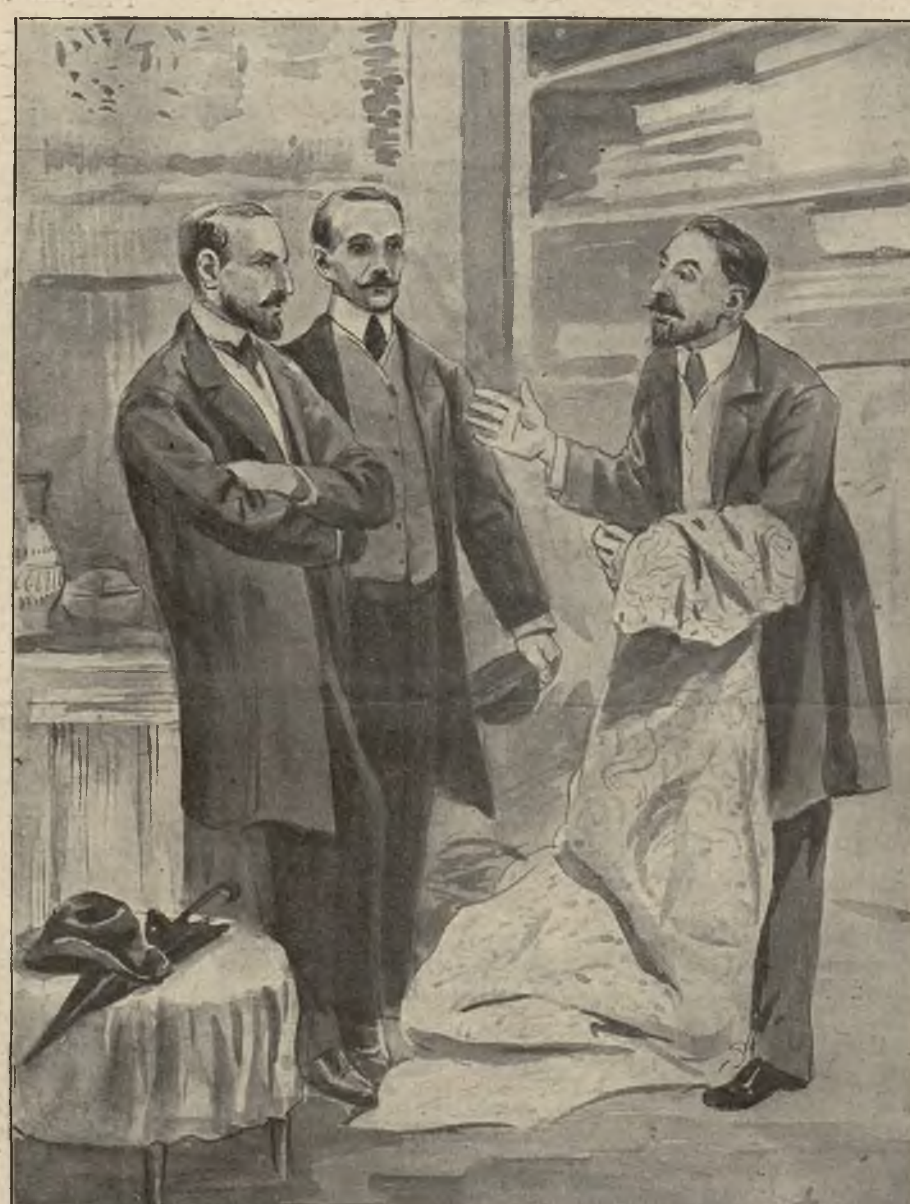
— Nie spóźniłem się — zawołał Roman patrząc na zegarek.

— Ani ja. Chodźmy do Bazaru.

Weszli do sklepu urządzonego prawie wykwintnie, z lustrzanemi szybami, zwierciadłami. Na politurowanych ladach, z wyjątkiem szczupłego miejsca dla kupujących, stały przeróżne drobnostki wyrobu drzewnego, terrakoty, fajansu. Na półkach zaszklonych szaf leżały jakieś barwne materye, a ze szaragów zwieszały się serdaki, gunie, pasy rozmaite, obok zakopańskich lasek, postołów i pantofli białych sukiennych i kąpielowych.

Przywitał ich młody, bardzo ugrzeczniony blondyn, w nienagannie skrojonym tużurku, pytając ze stereotypowym uśmiechem:

— Czem panom mogę służyć?



— To prawdziwa makata czysto jedwabna tkana złotem i srebrem

— Chcieliśmy obejrzeć sklep ten, towary, i zasięgnąć u pana pewnych informacyi handlowych — odpowiedział Szczuka.

— Bardzo chętnie. Służę panom. Od czego zaczniemy?

— Zostawiamy to panu — odezwał się Roman.

— Panowie tutejsi?

— Nie, z Warszawy.

— O, bardzo mi przyjemnie. Gdyby nie przyjezdni, trzebaby zamknąć Bazar.

Szli w głąb sklepu.

— Tak mało kupują tutejsi? — spytał Szczuka.

— Tutejsi? — wzruszył ramionami lekceważąco. — Proszę pana łaskawego, kto tu ma kupować? Urzędnicy ledwie wyżyją ze swych pensyi; szlachta bankrutuje, a mieszczanie lewie dyszą, i jeśli mają co kupić, idzie do żyda. O, tu warunki są ciężkie.

Roman i Szczuka zamienili porozumiewawcze spojrzenie, a Roman wskazując na barwną materyę, rzekł:

— Co za ładna sztuka!

— Tak, to nasza chluba. Właśnie tu przyprowadziłem panów — i wyjmując materye: — To prawdziwa makata, czysto jedwabna tkana złotem i srebrem, według wzorów staropolskich. Co?... nie piękna?... i tania, bardzo tania, tylko trzysta koron... — a widząc zdziwione miny: — proszę zobaczyć co za rysunek, jakie wykonanie! No, nic dziwnego, warsztaty zostają pod kierunkiem samej pani hrabiny... Czy mam zapakować i odesłać? — spojrzał pytająco po ich twarzach.

— Na takie zbytki nas nie stać — uśmiechnął się Roman — może pan zechce nam pokazać inne towary.

— I owszem — odparł z ukłonem — oto są kilimy — wskazał na oszkloną szafy — bardzo ładne, trwałe, różnych rozmiarów... mamy pasy lite i kilimowe, portyery.

— Przejdźmy do innego działu — zaproponował Szczuka.

— Chętnie oprowadzę panów — skłonił się zarządzający. — Zaczniemy od tyłu — wskazał na trzecią ubikacyę sklepową i recytował:

— Tam są wyroby koszykarskie i bambusowe, kosze, wózki, fotele, kanapy, tualety bambusowe, wogóle urządzenia do altan i werand. A tu, jak panowie widzicie, są majoliki, dalej rzeźby z drzewa, paski krakowskie, pojasy huculskie, krypcie, kapelusze słomkowe, perfumerya... a z frontu widzieli już panowie.

— A tak. Pozwoli mi pan zapalić papierosa? — spytał Roman — może i pan? — podał mu papierośnicę.

— I owszem — a zajrzawszy do frontowego sklepu: — niema nikogo. Może panowie usiądą, pogadamy.

Usiedli, a Szczuka ze zwykłą swoją powagą rzekł:

— W tym sklepie, co prawda ładnym, ale widzę tylko przedmioty zbytku.

— Co też pan mówi? — zaśmiał się zarządzający. — Czyż takie pantofle, albo naprzykład kurtki sławuckie, burki damskie, serdaki a chociażby te zabawki, które sprowadzamy z Warszawy, czyż nie są do codziennego użytku?

— Jak dla kogo. Może się nie rozumiemy — tłómaczył Szczuka — ale idzie mi o takie naprzykład perkale kolorowe, barchany, materyały na spodnice dla bab, na kaftany dla chłopów. Buty dobre, czapki, pończochy, trzewiki, chustki ciepłe, wstążki, wogóle, co bez różnicy stanu każdemu jest potrzebne w lepszym lub gorszym gatunku.

Twarz zarządzającego przybrała wyraz zimny i odparł tonem grzecznym lecz stanowczym:

— Tu, panie łaskawy, jest Bazar krajowy i za udzieloną nam zapomogę z Wydziału krajowego mamy obowiązek trzymać w sklepie tylko towary wyrobu krajowego. Jeśli pan chce dostać takich rzeczy, jak te, które pan wyliczył, na to ma pan inne sklepy.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się Roman — zasada jest zasadą. Przypuszczam, że tutejsi szewcy wyrabiają obuwie i ono jest niewątpliwie wyrobem krajowym, a u panów niema.

— A, szewcy. Każdy porządniejszy z nich ma przy swym warsztacie skład swego obuwia. Tu niepotrzebnie zabierałoby ono miejsce. Ale mamy krypcie, to nasza specyalność, dużo tego się rozchodzi. Zresztą, my obsługujemy tylko lepszą publiczność. I u nas, w przemyśle, muszę to powiedzieć panom, pustka. Niema sposobu konkurować z Niemcami.

Porozmawiawszy jeszcze chwil kilka z zarządzającym opuścili sklep.

— Jesteśmy niepoprawni — rzekł z ironią Szczuka. — Handlujemy tylko estetycznymi przedmiotami, a takie drobnostki jak koszule, spodnice, pończochy, buty, zostawiamy podłym Niemcom.

— No, tak źle nie jest — odezwał się Roman — muszą przecież być wyroby krajowe po innych sklepach, tylko toną w zalewach zagranicznych.

— Dobrz, pójdziemy.

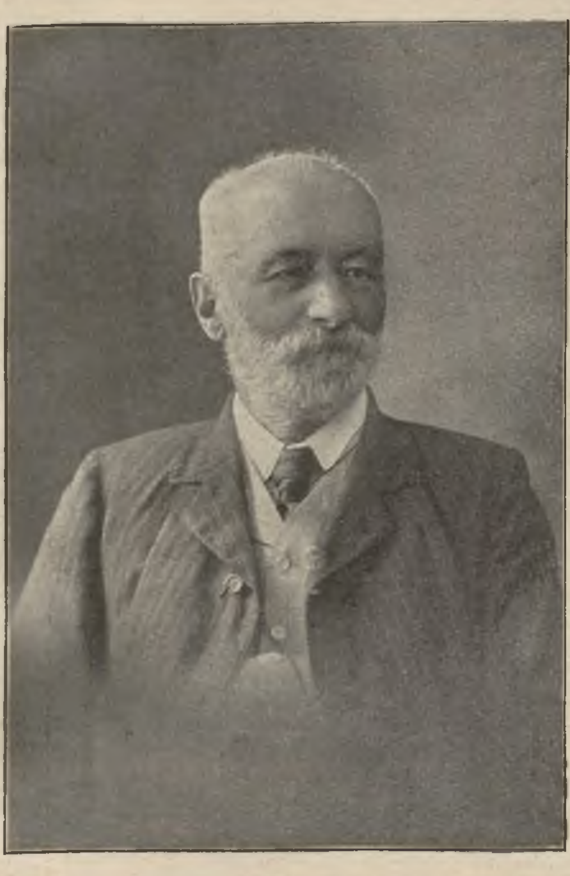
Przechodząc przez Sukiennice pomiędzy kramami, dostrzegli sklepik z barwnemi chustkami, krakowskiemi wstążkami, jaskrawemi, a handlarka, chwytając Romana za rękaw, zawołała:

— Sliczne rzeczy, *echt* krakowskie, może pan kupi dla dziewuchy?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon wybitnego technika.

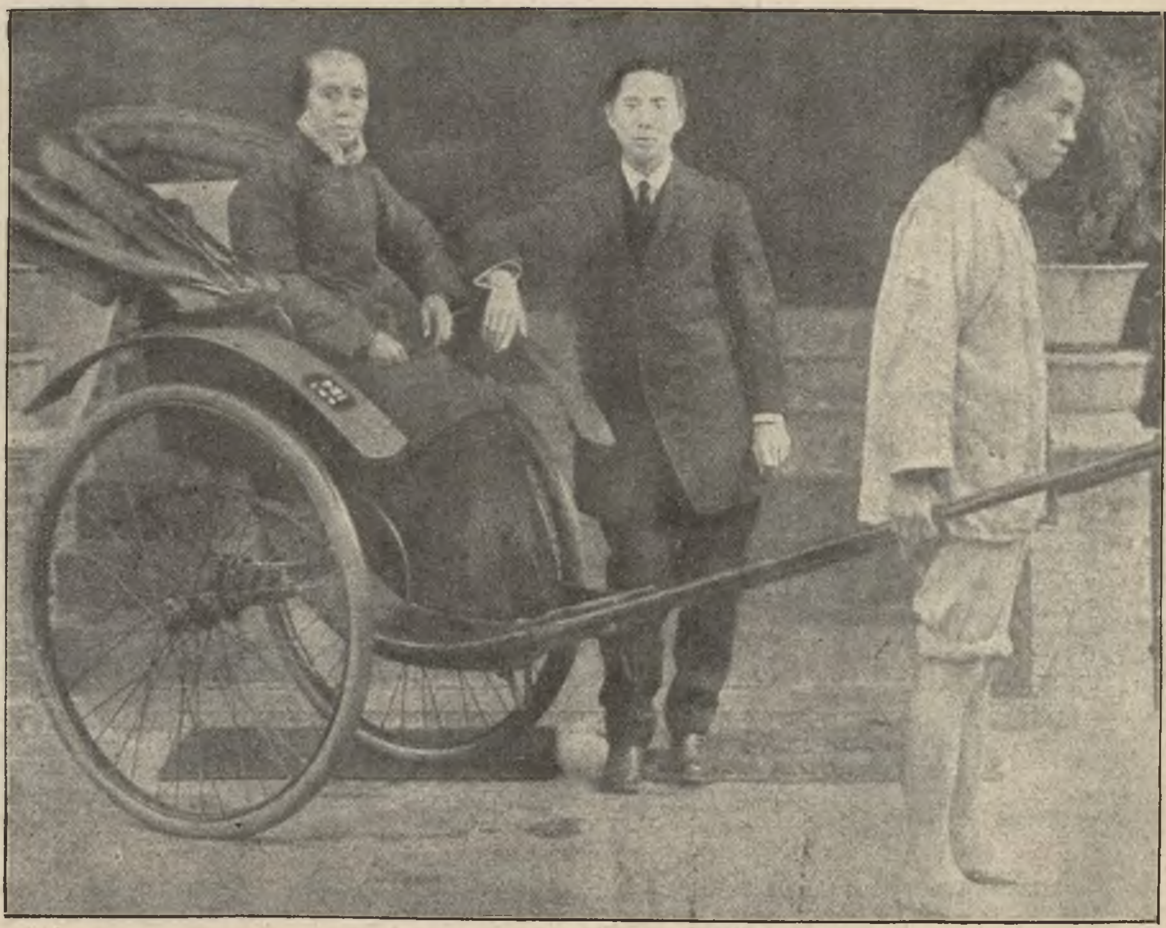
Z szeregu techników polskich, zajmujących wybitne stanowiska społeczne, ubył Roman baron Gostkowski. Smierć zabrała go ubiegłego tygodnia z pośród żyjących, a nauka polska poniosła wielką stratę.



Zgon wybitnego technika: Ś p. Roman Gostkowski, profesor Politechniki lwowskiej.

Sp. Roman Gostkowski, urodzony w Galicyi, kończył studya techniczne w Wiedniu, a następnie pracował przy kolei południowej. Kolejnictwu poświęcał się przez długie lata. W r. 1872 stanął na czele ruchu ówczesnej kolei arcyks. Albrechta we Lwowie i wtedy habilitował się na Politechnice lwowskiej, jako docent prywatny teoryi ruchu kolejowego. Był to pierwszy tego rodzaju wykład w Austryi. W r. 1890 utworzono dla śp. Gostkowskiego osobną katedrę zwyczajną, na której wytrwał przez lat 18, aż z powodu przekroczenia 71 roku życia, według obowiązujących w Austryi ustaw, ustąpić musiał. Jak trudno go było zastąpić, wystarczy zaznaczyć, że przez rok następny jeszcze wykładać musiał jako emeryt. S. p. Gostkowski był też rektorem Politechniki, a lwowskiemu Towarzystwu politechnicznemu przewodniczył przez długie lata. Po ustąpieniu z prezesury został mianowany w dowód zasług i owocnej pracy dla techników członkiem honorowym tego Towarzystwa. Utworzono też w łonie Towarzystwa fundacyę im. Romana Gostkowskiego. Drukowanych prac pozostawił śp. Gostkowski kilkadziesiąt z zakresu kolejnictwa, elektrotechniki i wielu innych zagadnień specyalnych.

Do ostatnich chwil życia pracował nad sposobem jasnego wytłumaczenia t. zw. reakcyi, pojęcia nader ważnego w lotnictwie i w nauce wogóle. Przez szereg lat piastował też śp. Gostkowski mandat radnego m. Lwowa. Ostatnią posługę oddali zmarłemu technicy polscy, w imieniu których żegnał wybitnego obywatela rektor Politechniki Fiedler i prezes Tow. politechnicznego prof. Syroczyński.



Rodzina bohatera chińskiego: Małżonka twórcy republiki chińskiej, dra Sunjatsena, z synem na przejażdżce w Nankingu.

Rodzina bohatera chińskiego.

Nowa republika chińska ma już swoich bohaterów. Na czele ich stoi pierwszy prezydent południowej republiki, dr. Sunjatsen. Duchowy twórca olbrzymiego przewrotu, który przygotował i właściwie przeprowadził po bohaterskich walkach w obronie nowo powstającej republiki chińskiej, znalazł w sobie tyle zaparcia się i poświęcenia, że potrafił wyrzec się osobistych ambicyi i zrzekł się władzy na rzecz Juan-szi-kaja, który został pierwszym pre-



Wiejski kurs gorsecIarstwa: Kierownicy i uczestniczki wiejskiego kursu gorseciarstwa w Chorkówce, majątku pp. Stawiarskich w pow. Krośnieńskim.

zydentem całej republiki. Obecnie dr. Sunjatsen żyje jako spokojny obywatel w Nankingu i może z dumą patrzeć na swe dzieło: przekształcenie 400 milionowego, a najbardziej konserwatywnego państwa na republikę!



Katastrofa pociągu ekspressowego: Szczątki rozbitych lokomotyw na stacyi Melzo pod Medyolanem.

Zarówno sam twórca republiki, jak i jego rodzina posiadają wykształcenie i kulturę europejską. Dr. Sunjatsen jest lekarzem i otrzymał dyplom dra medycyny na jednym z uniwersytetów europejskich, a synowie jego również odbyli studya europejskie. Z obyczajów i wykształcenia jest także Europejką żona bohatera chińskiego, która tak samo, jak dr. Sunjatsen i jego dzieci, zrzuciła szaty chińskie i ubiera się po europejsku.

Dr. Suntjansen wraz z swą rodziną stanowi typowy przykład tej nowej generacyi Chińczyków, która w przyszłości może istotnie uczynić z państwa Niebieskiego groźną dla Europy potęgę.

Illustracya nasza przedstawia żonę dra Sunjatsena i syna jego Sun-Fo podczas wycieczki na miasto.

Wiejski kurs gorseciarstwa.

Praca wśród ludu, celem podniesienia jego poziomu tak ekonomicznego, jak i kulturalnego, stanowi niewątpliwie jedno z najważniejszych zadań społeczeństwa. I w tym kierunku Galicya uczyniła w ostatnich latach wielki krok naprzód. Liczne instytucye pracują tu nad podniesieniem oświaty i dobrobytu wśród polskiego włościaństwa, a nie brak też przejętych poczuciem obywatelskiem jednostek, przykładających swą własną cegiełkę do ogólnego dorobku pracy społecznej na wsi.

Jenen z takich faktów działalności obywatelskiej wśród ludu zasługuje na szczególne wyróżnienie. Mianowicie pp. Stawiarscy, właściciele dóbr w powiecie Krośnieńskim, urządzili z własnej inicyatywy i własnym kosztem kurs wyrobu gorsetów dla dziewcząt wiejskich. Ten dobry przykład oddaje niewątpliwie podwójną korzyść, bo z jednej strony przyczynia się do podniesienia przemysłu wiejskiego, a z drugiej — jest bodźcem do zachowania pięknych ubiorów ludu polskiego, który, niestety, zaczyna w niektórych okolicach zarzucać swe dawne, a tak urocze, stroje wieśniacze.

Na kurs ten uczęszczało 28 dziewcząt z okolicznych wiosek. Nauka trwała przez cztery tygodnie pod okiem p. Stawiarskiej, Sióstr Służebniczek i krawczyni wiejskiej, umyślnie sprowadzonej z pod Krakowa.



Wielbłądy na wojnie: Włoska armata na wielbłądzie w Trypolisie.

W prowadzeniu kursu pomagali prócz tego radą: p. Seweryn Udziela, inspektor szkolny z Podgórza, Zarząd powiatowy Kółek rolniczych w Krośnie i Zarząd muzeum przemysłu artystycznego w Krakowie.

Zakończenie kursu odbyło się uroczyście we dworze w Chorkówce, w którym znajdowała się pracownia, wystawę zaś zrobionych gorsetów i koronek, w połączeniu z wyrobami kobiecymi Oddziałów kobiecych Kółek rolniczych z Suchodołu, Iwonicza, Odrzykonia i Długiego, urządzono dnia 25 marca w sali „Sokoła“ w Krośnie. Podczas wystawy p. Seweryn Udziela wygłosił odczyt „o sztuce ludowej“.

Katastrofa pociągu ekspressowego.

W miarę rozwoju ruchu kolejowego wzrastają w zastraszający sposób coroczne kroniki katastrof



Wielbłądy na wojnie: Przegląd włoskiej bateryi armat na wielbłądach w Trypolisie.

kolejowych. Gorączka współczesnego życia skłania zarządy kolejowe do ciągłego zwiększania szybkości pociągów. Tem samem jednak zwiększa się niebezpieczeństwo komunikacyi, a w razie katastrofy skutki jej są tem straszniejsze.

Do szeregu licznych katastrof, które zapisały się tak krwawo w kronikach roku bieżącego, przybyła znowu wielka katastrofa na linii Wiedeń-Nizza. Pociąg ekspressowy u wjazdu do stacyi Melzo, niedaleko Medyolanu, wpadł całą siłą pary na pociąg towarowy. Uderzenie wzajemne było tak silne, że lokomotywy obu pociągów formalnie wbiły się w siebie, tworząc bezkształtny stos gruzów. Bardzo ucierpiały wagony pociągu towarowego. Między nimi został zupełnie rozbity wagon, w którym znajdowało się kilka koni.

Katastrofa pociągnęła za sobą także ofiary w ludziach. Ze służby kolejowej trzy osoby zginęły na miejscu, a sześć zostało ciężko poranionych.

Pasażerowie pociągu ekspressowego dzięki bardzo silnej konstrukcyi wagonów wyszli z katastrofy cało.

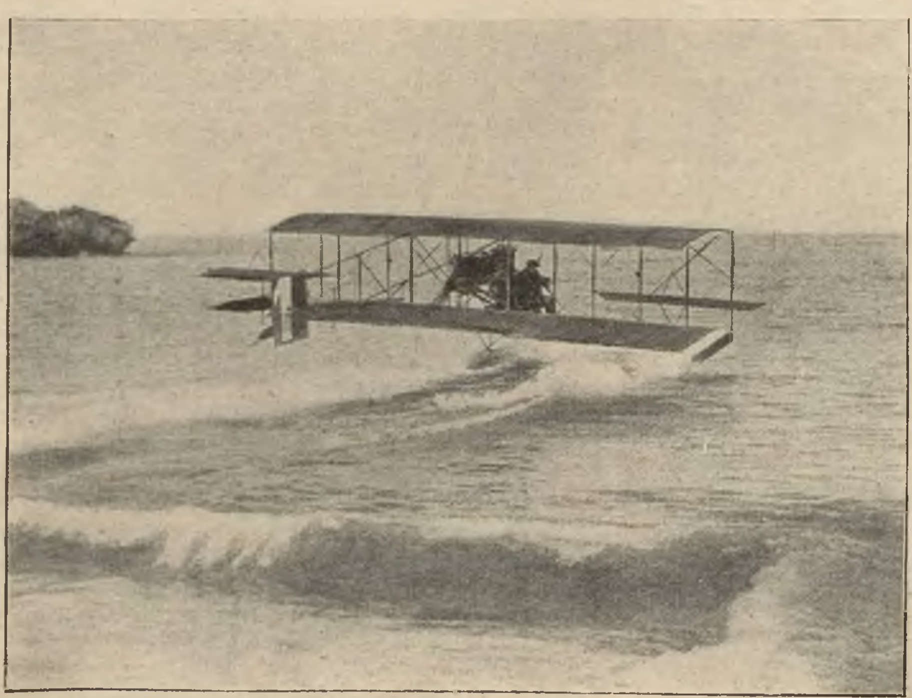
Illustracya nasza przedstawia lokomotywy obu pociągów po zderzeniu i pasażerów, opuszczających pociąg pospieszny.

Wielbłądy na wojnie.

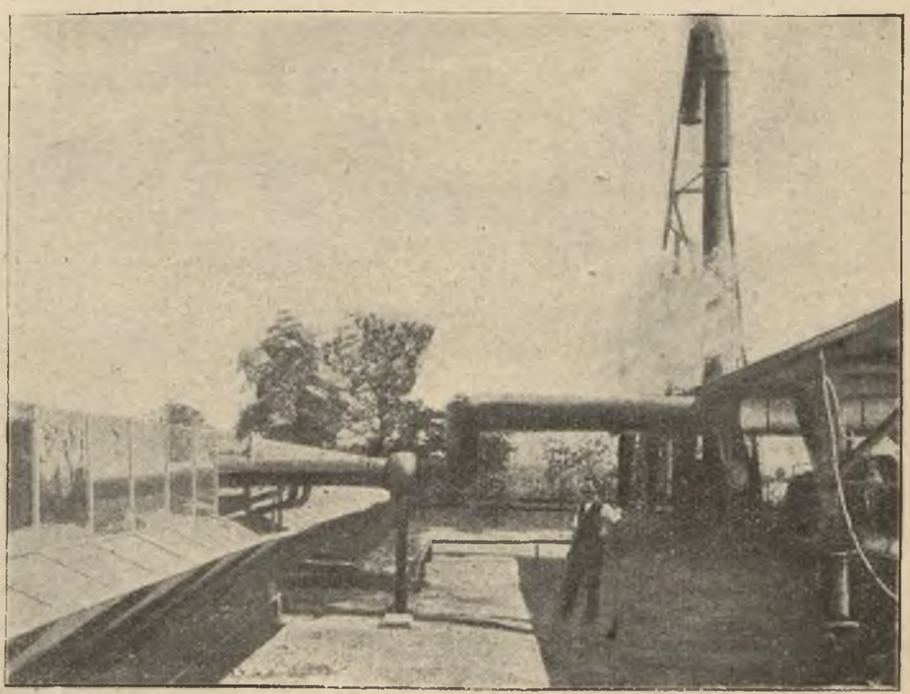
Włochy w toczącej się wojnie z Turcyą zastosowały wszystkie najnowsze wynalazki i ulepszenia techniczne, służące do tem skuteczniejszego mordowania swych przeciwników. W kampanii trypolitańskiej po raz pierwszy wystąpiły do walki aeroplany i balony, z których Włosi rzucają pociski wybuchowe na wojska turecko arabskie. Te zdobycze śmiercionośnej techniki nie zdołały jednak dotychczas zapewnić Włochom powodzenia. Wobec specyalnych warunków terenowych Trypolitanii, po europejsku zorganizowana armia okazała się niewystarczającą. Zwykła artylerya, ciągniona końmi, na pozbawionych dróg i piaszczystych przestrzeniach Trypolisu staje się prawie bezużyteczną. Musieli więc Włosi utworzyć specyalną artyleryę... wielbłądzią. Taką właśnie baterye armat, umieszczonych na wielbłądach, przedstawia nasza illustracya.

Konkurs wodnych aeroplanów.

Słabą stroną żeglugi powietrznej był dotychczas fakt, iż aeroplan, jeśli przypadkowo spadł do wody a nie na ląd, tonął bez ratunku. To też wszyscy wynalazcy wysilali zdolności swe w tym kierunku, aby przez odpowiednie urządzenia uchronić aeroplany od takich katastrof. Obecnie problem ten został pomyślnie rozwiązany. Dowodzi tego konkurs wodnych aeroplanów, jaki niedawno odbył się w Monaco, a który miał rzeczywiście interesujący przebieg.



Konkurs wodnych aeroplanów: Wzlot aeroplanu wodnego Paulhana w Monaco.



Słońce jako motor: Fabryka poruszana zapomocą promieni słonecznych.

Poraz pierwszy bowiem widziano podczas tego konkursu aeroplany, jak wykonywały swe ewolucye całkiem normalnie, spuszczając się kolejno na ląd i na wodę.

Do konkursu stanęło ośmiu współzawodników. Z pomiędzy nich lotnicy: Paulhan, Renault, Fischer i amerykanin Robinson używali dwupłaszczyznowców rozmaitego systemu, zaopatrzonych w specyalne pływaki, które służyły do utrzymywania aeroplanów na wodzie. Pływaki te mają dotychczas trzy typy. W konstrukcyi Fabre'a aeroplan spoczywa na trójnogu, zaopatrzonym w dwa krótkie pływaki, jeden na przodzie, drugi z tyłu aparatu, w konstrukcyi Curtissa aeroplan ma jeden centralny długi pływak, w kształcie łódki, zaopatrzony w dwa mniejsze pływaki po obu końcach żagli. Celem ich jest niedopuścić, aby te żagle dotknęły się wody, gdy aero-



Szkoła rzemiosł budowlanych w Jarosławiu: Kierownicy szkoły z dyrektorem rad. bud. Bäckerem (X) i pierwsi frekwentanci na oddziale murarskim.
(Fot. H. Probstein, Jarosław).

plan się przechyli. Wreszcie kilka aeroplanów innych konstruktorów posiada podwójne pływaki, które zajmują to miejsce, gdzie znajdują się koła u zwykłych aeroplanów.

Oprócz jednego aparatu, który już w pierwszym dniu się połamał, wszystkie inne przetrwały konkurs w dobrym stanie.

Wyniki tego konkursu stanowić będą niewątpliwie poważny etap w rozwoju żeglugi powietrznej.



Nowe wykopaliska w Pompei: Odkopana ulica de Attondanda w bardzo dobrym stanie

Słońce jako motor.

Wśród wielu wynalazków, które prowadzą naprzód zdobycze techniki, wielkie znaczenie mają takie odkrycia, które dążą do zmniejszenia sił roboczych, celem wytworzenia energii pracy. Jeden z uczonych angielskich wystąpił niedawno z projektem, aby nie wydobywać z ziemi węgla, ale palić go pod ziemią, a tylko gaz węglowy odprowadzać na powierzchnię rurami i tu zamieniać w energię pracy.

Obecnie w Ameryce znalazł się inny wynalazca, inżynier Frank Shumann który postanowił zużytkować do celów motorycznych ciepło promieni słońca. Zbudował on fabrykę, która zajmuje się zamianą tego ciepła na energię pracy. Wynalazek polega na tem, że zapomocą specyalnych wklęsłych zwierciadeł rzuca się promienie słoneczne na zbiorniki wody. Ciepło, wywiązujące się przez skupienie promieni słońca, ogrzewa wodę i doprowadza ją do wrzenia, wytwarzając parę wodną. Zapomocą specyalnych przewodów parę tę przeprowadza się następnie do maszyny parowej, która uzyskuje w ten sposób popęd za bardzo tanie pieniądze.

Ma się rozumieć fabryka może pracować tylko w dni, kiedy słońce świeci, a także słońce zimowe nie posiada w swych promieniach dość ciepła do ogrzania wody.

O ile więc wynalazek teoretycznie jest ważny i jako odkrycie bardzo ciekawy, o tyle praktycznie ma bardzo ograniczone zastosowanie.

Illustracya nasza przedstawia urządzenie takiej fabryki poruszanej za pomocą promieni słonecznych.

Szkoła rzemiosł budowlanych w Jarosławiu.

Jednym z koniecznych warunków podniesienia przemysłu i rękodzieł w naszym kraju jest niewątpliwie przygotowanie należycie wyszkolonych sił fachowych. To też powstanie każdej szkoły fachowej u nas należy powitać jako nową placówkę uprzemysłowienia naszego kraju. Jedną z takich placówek założono jesienią roku ubiegłego w Jarosławiu. Mianowicie staraniem gminy miasta, a przedewszystkiem jej burmistrza dra Adolfa Dietziusa powstała tam Szkoła rzemiosł budowlanych. W szkole tej został otwarty w tym roku trzyletni oddział murarski, nadto w przyszłych latach szkoła ta składać się ma z oddziału ciesielskiego, kamieniarskiego i studniarskiego, a są także starania o utworzenie oddziału ślusarskiego. Na razie ma szkoła umieszczenie w realności p. Hirta, w tym celu przez gminę wynajętej, na przyszły zaś rok mieścić się już będzie we własnym gmachu, wybudowanym według planów i pod kierunkiem p. architekta Jana Stobieckiego, kosztem Wydziału krajowego i gminy miasta Jarosławia. Dyrektorem szkoły jest radca budownictwa p. Łucyan Bäcker, poprzednio inspektor szkół przemysłowych uzupełniających, w skład grona nauczycielskiego wchodzą pp. Ambroży Knobloch, profesorowie gimnazyalni Wiktor Romański i Leon Sonntag, oraz prof. szkoły realnej p. Józef Kaniak.

W niedzielę dnia 31 marca b. r. nastąpiło uroczyste zakończenie 1-go kursu na oddziale dla murarzy, nauka bowiem na tym oddziale trwa tylko pięć miesięcy, od 1 listopada do końca marca, w inne bowiem miesiące roku uczniowie kształcą się praktycznie, pracując na budowach.

Po nabożeństwie uroczystem we farze zebrali się pierwsi frekwentanci szkoły w sali wykładowej, gdzie do nich przemówił dyrektor p. Bäcker i gospodarz klasy p. Knobloch, poczem rozdano frekwentantom świadectwa. Na 11 frekwentantów 3 ukończyło pierwszy kurs nauki z postępem celującym, pozostali wszyscy otrzymali świadectwa, uprawniające ich do przejścia na kurs drugi, rozpoczynający się w jesieni.

Ulepszenia pocztowe w Anglii.

Dla zbieraczy marek pocztowych rozpoczną się wnet smutne czasy. Udoskonalenia pocztowe dążą obecnie do tego, aby usunąć zupełnie potrzebę używania marek pocztowych. Okazują się one bowiem o tyle niepraktyczne, że stemplowanie ich w urzędach pocztowych zajmuje dużo czasu i opóźnia znacznie ekspedycyę poczty.

Główny urząd pocztowy w Londynie wprowadził już na próbę pierwszy automat, który ma zastąpić nalepianie marek pocztowych. Automat jest w ten sposób urządzony, że po wrzuceniu monety wsuwa się list w odpowiedni otwór i za pociśnięciem sprężyny aparat automatycznie wyciska na kopercie napis „poczta opłacona“, przez co list jest już ofrankowany.

Ma się rozumieć, automat taki stempluje tylko listy, wymagające normalnej opłaty.

W każdym razie usunięcie potrzeby nalepiania marek pocztowych uprości znacznie manipulacyę pocztową i przyspieszy szybkość poczty.

Illustracya nasza przedstawia nowo wynaleziony automat.



Ulepszenia pocztowe w Anglii: Automat do wybijania na listach stempli zamiast marek pocztowych.



Nowe wykopaliska w Pompei: Świeżo odkopany fragment balkonu II. piętra. Pod spodem sklepy z zachowanymi dobrze szyldami.

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

2) Tłum. z francuskiego.

Z lewej strony wznosiła się fabryka powozów z olbrzymim, trójkątnym, oszklonym dachem. Mur, otaczający fabrykę, graniczył z ogródkiem tajemniczego domu. Z prawej strony znajdował się duży garage automobilowy, rodzaj olbrzymiej, drewnianej szopy. Jedno spojrzenie wystarczało dla przekonania się, że ciało barona nie mogło być przeniesione ani przez teren fabryczny, ani przez garage. To też ajent nie zatrzymywał się tu dłużej i zoryentowawszy się szybko, okrążył garage i wszedł na ulicę de la Santé. Róg tej ulicy z bulwarem Augusta Blanqui zajmował dom ubogich, założony przez barona du Collet, który o kilka kroków stąd zginął tragiczną śmiercią. Inspektor Staub nie miał żadnych wątpliwości, że barona zamordowano.

Wśród ogromnego parku, na czworoboku, utworzonym przez bulwar Blanqui, ulice de la Santé, Broca i de la Glacière, wznosiły się zabudowania domu dla ubogich, nowo założonego, wspaniale urządzonego, z pawilonami dla chorób zakaźnych i laboratoryum, którego dyrektorem był dr. Vanesco, jeden z najsławniejszych lekarzy Paryża. Zakład otoczony był murem i wspaniałą kratą z kutego żelaza.

Doszedłszy do ulicy Humboldta, Staub skręcił znowu i przeszedłszy kilkanaście kroków, zauważył, że garage tu się kończy, ustępując miejsca parowemu tartakowi. Z drugiej strony ulicy wznosiły się po tężne mury więzienia de la Santé. Między tartakiem i warsztatem mechanicznym ciągnął się nizki mur z żelazną kratą w kształcie włóczni. W głębi, za kratą, widać było niewielki pawilon, pokryty czerwoną dachówką. Do niego właśnie zmierzał Staub.

Na odgłos dzwonka drzwi się otworzyły i ukazała się w nich twarzyczka dziewczynki od siedmiu do ośmiu lat.

Staub uchylił kapelusza i zapytał najsłodszym głosem, na jaki go było stać:

— Czy twój tatuś jest w domu, maleńka? Chciałbym się z nim widzieć...

Ale dziecko, wystraszone, zamknęło szybko drzwi, krzycząc piskliwym głosikiem:

— *Ich verstehe nicht!*

— Hm... hm... — mruknął Staub z lekkim uśmiechem — niemiecki dom... Coraz lepiej... Zresztą można się było tego spodziewać.

I po raz drugi nacisnął guzik dzwonka.

Tym razem w oknie pierwszego piętra ukazała się głowa mężczyzny.

Obrzuciwszy szybkiem spojrzeniem ajenta, mężczyzna zapytał ze złością, ostrym głosem z silnym niemieckim akcentem:

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym pomówić z panem — odparł Staub czystą niemczyzną z najbardziej ujmującym uśmiechem.

Pragnął usposobić jak najlepiej tego jegomościa o twarzy buldoga, którego niebieskie oczy nie były zresztą pozbawione intelligencyi. Dodał więc głosem jak miód słodkim:

— Czy zechce mi pan wyświadczyć łaskę i wpuścić do domu?

Niemiec nie zdawał się być wcale wzruszonym grzecznością ani dźwiękiem rodowitego języka. Zachowując wyraz twarzy odporny i niedowierzający, odparł niezadowolonym tonem:

— Jeżeli w sprawie ubezpieczenia, to niepotrzebne...

Staub zaprzeczył gestem.

— W takim razie, po co?

— Proszę mi pozwolić wejść, a wyjaśnię panu, o co mi chodzi. Sprawa jest zanadto poważna, żeby mówić o niej na ulicy.

Ajent powiedział to tak przekonywującym głosem, że Niemiec ustąpił. Zamknął szybko okno i w parę chwil później jego twarz z niedowierzającem spojrzeniem ukazała się w otwartych drzwiach pawilonu. Obejrzawszy jeszcze raz Stauba od stóp do głów — wprowadził go do niewielkiej jadalni. Wejście ich wypłoszyło z pokoju cztery dziewczynki w różnym wieku.

— Pańskie dzieci? — zapytał Staub.

— Tak... moje córki... — odparł Niemiec. — Zdaje mi się jednak, że pan nie po to tu przyszedł, żeby mówić o moich dzieciach... Przedewszystkiem, kim pan jesteś? Ja się nazywam Leymann... Karol Otto Leymann, urodziłem się w Brandenburgu, w Prusach jestem paryskim korespondentem gazety *Koelnisches Volksblatt*.. Na pana kolej!

— A ja — odparł Staub, czując, że musi odkryć swe karty, żeby zapewnić sobie powodzenie — ja nazywam się Franciszek Staub i jestem detektywem.

— Detektywem! — krzyknął Leymann zrywając się.

— Do pańskich usług! — ciągnął ajent, zadowolony z efektu, jaki wywołało jego oznajmienie. Należę do drugiej brygady służby bezpieczeństwa.

— Moje papiery są w porządku, nie mam żadnych zatargów z policyą — zawołał Niemiec, może zbyt żywo.

— To też — odparł Staub z uspokajającym gestem — to też nie to jest celem mojej wizyty.

— W takim razie — zapytał Leymann z lekkim niepokojem — czego pan sobie właściwie życzy?

— Wyjaśnię to w paru słowach: w domu, znajdującym się z tyłu za pańskim ogrodem popełniono ubiegłej nocy zbrodnię, towarzyszyły temu okoliczności tego rodzaju, iż niepodobna, żeby pan cokolwiek nie zauważył.

Mówiąc to, Staub patrzył przenikliwie w oczy Niemcowi, przypuszczając, że dostrzeże w nich zmieszanie.

Ale nadzieja omyliła go.

— Zbrodnia!... — powtórzył Leymann, nie odpowiadając na pytanie.

I jakby chcąc się uwolnić od denerwujących go spojrzeń ajenta — począł przechadzać się po pokoju.

— Więc czegóż pan odemnie żąda? — zapytał wzruszając ramionami.

— Chcę tylko, żeby mi pan powiedział, co pan wie... Powtarzam — niepodobna, żeby pan nic nie zauważył.

— Nie rozumiem! Jakże mam wiedzieć, co się działo w domu oddalonym o pięćdziesiąt metrów od mego mieszkania, szczelnie na noc zamkniętego?

— Ale mógł pan słyszeć lub widzieć, co się działo w pańskim ogrodzie, pod oknami pańskiego domu.

— W moim ogrodzie? pod mojemi oknami? — krzyknął Niemiec z przerażeniem.

— Bez wątpienia — gdyż tędy właśnie przenosił morderca ciało swej ofiary, przebywszy z niem mur graniczny.

— W jaki sposób pan się o tem dowiedział?...

— O, to bardzo proste — odparł Staub z uśmiechem. Ja...

Nie czekając na wyjaśnienie — ku wielkiemu zdziwieniu ajenta Niemiec podszedł do drzwi otworzył je i krzyknął:

— Elza! Liza! Truda! Hilda! Greta! chodźcie tu! — Korowód kobiet wszedł natychmiast do pokoju. Na przedzie kroczyła pani Leymann, nizka okrągła osóbka, która kiedyś musiała być piękną, twarz miała sympatyczną, chociaż szpeciły ją od czasu do czasu lekkie nerwowe drgawki. Za nią szły cztery córki według wzrostu, wszystkie jasne blondynki w wieku od piętnastu do ośmiu lat.

— Elzo! — rzekł Leymann — ten pan jest detektywem... Pani Leymann krzyknęła lekko z przerażenia — okrzyk ten powtórzyły panienki, jak echo.

— Tak — jest detektywem — ciągnął Niemiec — i twierdzi, że w domu naszych sąsiadów na bulwarze popełniono zbrodnię i że zbrodniarz przeniósł ciało przez nasz ogród!

— Przez nasz ogród! — krzyknęła pani Leymann, wznosząc ręce ku niebu i blednąc gwałtownie.

— Jeżeli pani mi pozwoli — pośpieszył wtrącić się Staub z eleganckim ukłonem — to przedstawię dowody, że tak się stało.

— I gdzież pan znajdzie dowody? — zapytał Leymann nawpół niedowierzająco, nawpół ironicznie.

— Ależ w pańskim ogrodzie właśnie...

— Ach tak? Jestem bardzo ciekawy...

— Jeżeli pan sobie życzy — mogę je zaraz wskazać.

— Chodźmy do ogrodu — zawołał Niemiec, otwierając drzwi — za nim wyszli wszyscy.

Ogród Leymannów był niewielki. W środku znajdował się owalny klomb z kwitnącymi chryzantemami, klomb otaczały dwie aleje wysypane drobnym piaskiem; — dookoła murów biegły grzędy, w których kwitły rododendrony i begonie. Przed pawilonem znajdowała się pompa i buda dla psa.

Kiedy cała rodzina Leymannów znalazła się w ogrodzie, Staub wziął pod rękę Niemca, bardzo podnieconego i wskazując mu ślady stóp na piasku, zapytał go nagle:

— Czy to są ślady pańskich nóg?

— Bez wątpienia — odparł żywo Leymann.

— Ja sądzę przeciwnie.

— Dlaczego? Spojrzyj pan na moją nogę, nie jest maleńka, co?

I dodał, wskazując mniejszy ślad:

— ...A oto jest ślad nogi żony.

— Sądzi pan? — zapytał powątpiewająco Staub.

— Do dyabła! — krzyknął Niemiec. — Zaraz pana przekonam.

I odwróciwszy się, postawił stopę na odcisku. Ale śladu nie przykrył, stopa jego była znacznie mniejsza od stopy przypuszczalnego mordercy.

— To dziwne! — rzekł, skrobiąc się w głowę, w najwyższem zakłopotaniu.

— No, a teraz ty, Elzo! — dodał po chwili.

Tym razem odcisk był mniejszy i stopa pani Leymann pokryła go zupełnie.

— No i cóż pan na to? — zapytał Staub z tryumfem.

— Niech mnie dyabli porwą, jeżeli rozumiem cokolwiek! — mruknął Leymann. — Widocznie było, jak pan mówi, ktoś przechodził wczoraj przez nasz ogród.

— Powtarzam to panu od godziny blizko.

— A jednakże, nie... — przerwał Niemiec. — To niemożliwe. Sznaps, mój pies, często szczeka bez powodu, ale gdyby ktoś obcy ukazał się w ogrodzie, narobiłby takiego piekielnego hałasu, że pobudziłby nie tylko nas, ale wszystkich sąsiadów.

— Gdzież jest ten pies? — zapytał go żywo Staub, uderzonym tym szczegółem.

— Rzeczywiście — odezwała się pani Leymann — gdzie jest Sznaps, nie widać go od rana.

— Pewno śpi w budzie, leniuch — odparł Leymann i począł wołać: „Sznaps! Sznaps! Sznapsik! Chodź tu! Sznapsik!

Sznaps nie pokazywał się. Pani Leymann zwróciła się do najmłodszej córki:

— Wyprowadź go z budy, Greto. Może się boi.

Dziewczynka schyliła się i włożyła rękę do budy. Po chwili krzyknęła:

— Nie mogę, mamo! Jest bardzo ciężki i nie chce się ruszyć.

— Poczekaj! — zawołał Leymann, podchodząc. Odsunął córkę i sam włożył rękę, chcąc uchwycić psa za obrożę. Ale w tej chwili zaklął straszliwie. Biedne zwierzę było już zimne. Leżało martwe z wywieszonym językiem i szklistemi oczami.

— Oto dlaczego — rzucił Staub spokojnie — oto dlaczego pies państwa nie szczekał. Struto go.

— Ma pan słuszność — rzekł Leymann, podnosząc głowę. — Ale w jakim celu?

— O której godzinie położyli się państwo wczoraj? — zapytał Staub, nie odpowiadając na pytanie.

— Mogę panu powiedzieć dokładnie — rzekła Niemka — gdyż gasząc lampę, słyszałam, jak na wieży kościelnej biła dziesiąta.

— — Dobrze. A o której zwykle państwo się kładą?

— Zawsze o dziesiątej. Prowadzimy bardzo regularne życie. Z ostatniem uderzeniem dziesiątej, wszystkie światła w domu gasną.

— Doskonale. W taki sposób sąsiedzi państwa wiedzą o tem, że po dziesiątej można spokojnie przechodzić przez ogród. Jedyną przeszkodą w tego rodzaju przedsięwzięciach był pies. Więc go struto. To bardzo proste.

— Biedne psisko!... — odezwały się z żalem panienki.

— Widzę... widzę... — mruknął ich ojciec — że dowodów jest coraz więcej. Więc pan istotnie przypuszcza...

— Przypuszczam, że prawie niemożliwem jest żeby państwo nic nie słyszeli — odparł Staub, patrząc na Niemca przenikliwie.

Ajent trzymał się swego podejrzenia, że ci ludzie grają komedyę. Ale nie mógł zdobyć żadnego dowodu: czy Niemiec doskonale utrzymywał się w roli, czy też mówił zupełnie szczerze, dość, że odpowiedział spokojnym i naturalnym tonem.

— Proszę pana, kładę się do łóżka, żeby spać. To też zasypiam odrazu i śpię bardzo mocno. Można mi strzelać nad głową, a nie obudzę się.

— Ja także — wtrąciła się pani Leymann. — Mam kamienny sen... Jednakże... zdaje się, tak, zdaje mi się, że słyszałam turkot automobilu, który zatrzymał się koło naszego domu i po chwili odjechał.

— Automobil? — krzyknął ajent, otwierając szeroko oczy. — Czy pani jest tego pewna?

— Musiało ci się śnić — mruknął Niemiec. — Automobile rzadko bywają na naszej ulicy.

— Jednakże to jest możliwe — odparła żywo pani Leymann.

— O której to godzinie mogło być? — zapytał Staub, pragnąc jasnej odpowiedzi.

— Może o pierwszej, może o drugiej, ale równie dobrze mogło być i o jedenastej — odparła

Niemka wzruszając ramionami. — Pan rozumie, że kiedy się śpi...

— Powiedz najlepiej odrazu, że nie wiesz — przerwał jej mąż z rozdrażnieniem.

— Nic z nich nie wyciągnę — pomyślał Staub.— A jednak automobil! Toby wiele rzeczy wyjaśniło. Odezwał się głośno:

— Może pani sobie przypomni... To jest bardzo ważne. Jeżeli rzeczywiście ubiegłej nocy automobil zatrzymywał się przed domem państwa, to może bardzo dopomódz do śledztwa... Z drugiej strony można przypuścić, że przez sen mogli państwo nie słyszeć kroków w ogrodzie. Zwłaszcza, że ci ludzie musieli iść bardzo ostrożnie. Co pan o tem sądzi?

— Jestem pańskiego zdania — odparł Niemiec, zamieniając z żoną szybkie spojrzenie.

— Proszę uważać teraz! — rzekł Staub, zauważywszy to spojrzenie. — Proszę uważać. Jeżeli przypuszczenie o automobilu nie sprawdzi się, musimy powrócić znowu do śladów. Otóż ślady te kończą się przed drzwiami domu państwa, w takim razie można powiedzieć, że morderca wszedł do państwa wraz z wspólniczką i ciałem ofiary. W jaki sposób przekonacie mnie państwo, że nie jesteście wspólnikami?

— Wspólnikami!... my!... wspólnikami zbrodni!... — krzyknęli jednocześnie państwo Leymann, blednąc śmiertelnie, ale nie tracąc głowy pod strasznym zarzutem.

Leymann uspokoił się natychmiast i podczas, gdy jego żona całowała wystraszone tą sceną córeczki, i zaczerwieniony z oburzenia, powiedział:

— Niech pan zrewiduje dom!...

Staub poczuł, że zaszedł za daleko.

— Zrobimy lepiej — odparł — jeżeli zbadamy dokładnie, gdzie kończą się ślady, które zdają się urywać koło drzwi domu.

— Bandyci! — krzyknął Leymann nieznanym mordercom.

Ale Staub nie słuchając go, wszedł już w pokryte daszkiem wąskie przejście między domem i murem. Przejście to łączyło frontowy ogródek z innym, znajdującym się za pawilonem.

Zrobiwszy kilka kroków, Staub wydał lekki okrzyk i szybko schylił się.

— Byłem tego pewny — rzekł, zwracając się do Leymannów, którzy szli za nim. — To był fałszywy ślad. Mordercy okrążyli dom, stąpając po kamiennych płytach, przez co straciliśmy ślad i przeszli tędy. Teraz dziecko odgadnie resztę.

Mówiąc to, ajent szedł za śladami, które prowadziły wprost do furtki. Tu zatrzymał się i zapytał:

— Czy ta furtka zamyka się na noc?

— Tylko na klamkę.

— Doskonale.

Jednocześnie począł poruszać furtką z początku powoli, później prędzej.

Furtka obracała się na zawiasach bez szelestu. Staub zdawał się być mocno zadowolony. Wyszedł na ulicę i przyjrzał się uważnie brukowi. Natychmiast dostrzegł dwie czarne, tłuste plamy o parę kroków od furtki.

— Nie śniło się pani — zwrócił się do Niemki — rzeczywiście był tu w nocy automobil.

— A widzisz! mówiłam! — odparła pani Leymann, patrząc na męża. Ale ty mi nigdy nie chcesz wierzyć.

Niemiec wzruszył lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czyż można wierzyć wszystkiemu, co mówią kobiety!“

— Teraz — odezwał się Staub — wiem już wszystko. Pozostaje mi tylko podziękować państwu i przeprosić za kłopot.

Chciał już odejść, gdy nagle zatrzymał się.

— Przepraszam, chcę zadać państwu jeszcze jedno pytanie, mające dla mnie pewne znaczenie

— Niech pan pyta — rzekli państwo Leymann, którzy poczęli już swobodniej oddychać widząc, że straszny gość odchodzi.

— A więc, czy państwo znają mieszkańców tego domu za murem?

— Nie mogę powiedzieć, że ich znam — odparł Niemiec — bo nigdy z niemi nie rozmawiałem. Ale znam ich z widzenia...

— Więc jest ich tam kilku?

— Naturalnie.

— Przypuszczałem, że mieszka tam tylko jedna kobieta.

— Zwykle, tak. Ale od czasu do czasu przychodzą tam inni, którzy, zdaje się, mają w tym domu swoje *pied-à terre*.

— Jak wyglądają ci inni.

— Mężczyzna z rudemi włosami i brodą, bardzo wysokiego wzrostu, o ile mogłem zauważyć zdaleka.

— Hm... hm... — mruknął ajent.

— I kobieta, młoda dama, brunetka... smukła.

— Z wielkiemi niebieskiemi oczami?...

— Nie... raczej zielonemi... Mówi po niemiecku...

— Mówi po niemiecku? — krzyknął Staub. — Czy jest pan tego pewny?

— Czy jestem pewny? Do kroćset, ten szczegół właśnie zwrócił moją uwagę. Przytem, moja żona słyszała również...

— To ona, bezwątpienia! — rzekł ajent uszczęśliwiony z takiego wyniku swych badań. — A czy



— Niech mnie dyabli porwą jeżeli rozumiem cokolwiek

nie mogliby mi państwo powiedzieć, czy ta młoda dama była tam wczoraj?

— I owszem, była razem z rudym mężczyzną. Widziałem ich w jednym z pokojów już popołudniu. Okno było otwarte i zauważyłem, że rozmawiali z ożywieniem. W pewnej chwili mężczyzna wykonał ruch, jak gdyby coś ściskał w palcach, lub kogoś dusił. W tej chwili kobieta zobaczyła mnie i zamknęła okno... Później już ich nie widziałem.

— Musieli tam być na obiedzie — dodała pani Leymann — gdyż, robiąc sprawunki spotkałam w sklepie kolonialnym na placu Denfert Rochereau ich gospodynię, robiącą duże zakupy...

— Ich gospodynię?... — przerwał żywo Staub.

— Tak, ich klucznicę, jeżeli pan woli, ona załatwia wszystkie sprawunki i prowadzi całe gospodarstwo, oni tam zresztą bywają dość rzadko.

Ponieważ ajent zdawał się być bardzo zdziwionym, Niemka dodała:

— O! znam ją doskonale. Nazywa się pani Jude, bardzo łatwo ją poznać po dużem pasmie siwych włosów pośrodku głowy.

— Dziękuję pani bardzo — przerwał Staub potok wymowy pani Leymann. — Czy państwo gotowi są powtórzyć to wszystko sędziemu śledczemu?

Mąż i żona spojrzeli na siebie niespokojnie, okazując wyraźną niechęć do wchodzenia w stosunki z policyą i sądem.

— Niech się państwo niczego nie obawiają — dodał pośpiesznie ajent. — Nie narazi to was na żadne przykrości. Przyznaję, że wchodząc tu, miałem bardzo silne podejrzenia, teraz jednak znikły one zupełnie. Więc zgoda, nieprawdaż? Wezwą państwa jako świadków, i państwo powtórzą co do słowa to wszystko, co mnie teraz powiedzieliście!

Uścisnąwszy małżeństwu dłonie, Staub pośpiesznie wyszedł.

W pięć minut później, połączywszy się ze swym towarzyszem i Stefanem wsadził przemocą do automobilu panią Jude, nie zważając na jej zaprzeczenia i rozpacz. Jadąc szybko do dyrekcyi policyi Staub winszował sobie dobrego węchu, z jakim poprowadził badania. Wypadało z tego, że, przedewszystkiem pani Jude kłamała z niesłychaną bezczelnością, i następnie nie ulegało już wątpliwości, że zniknięcie barona du Collet, było nową zbrodnią Fabrykanta mumii.

Z opisu, jaki dali Niemcy, Staub poznał odrazu rudego olbrzyma i młodą brunetkę o zielonych oczach. O tej parze słyszało się zawsze po każdej zbrodni, dokonanej przez nie dającego się schwytać opryszka.

ROZDZIAŁ VI.

Młody lekarz.

Od rana Barsac, sławny reporter, którego znał cały Paryż, zdzierał buty, pragnąc zebrać materyał do artykułu o tajemniczem zniknięciu, które zajmowało wszystkie umysły. Ale nie miał szczęścia. W dyrekcyi policyi odmówiono mu stanowczo wszelkich wyjaśnień. Udał się na ulicę świętego Jakóba, pragnąc opisać przynajmniej wnętrze tajemniczego domu, ale policya nie wpuściła go. W pałacu barona na Polach Elizejskich odźwierny oznajmił mu, że baronowa odbywa naradę i nie chce się z nikim widzieć. W końcu udał się na plac Vendôme do banku, założonego przez ojca barona. Znał dyrektora banku, pana Larcquebron, spodziewał się więc zasięgnąć u niego informacyi. Ale pomimo wczesnej godziny w obszernej poczekalni dyrekcyi było mnóstwo ludzi, oczekujących na przyjęcie, podnieconych, rozprawiających z ożywieniem o wypadku. Barsac zrozumiał odrazu, że nie doczeka się swej kolei. Zrozpaczony tem uporczywem niepowodzeniem, nieszczęsny reporter wyszedł z poczekalni. Na schodach. idąc ze spuszczoną głową, potrącił jakiegoś jegomościa, który poznawszy go, krzyknął z radością.

— A! Barsac! Jak się pan miewa?

— Źle, doktorze, bardzo źle — odparł reporter z miną na wpół komiczną na wpół rozpaczliwą.

Doktor Aleksander Vanesco, Rumun z pochodzenia, jeden z najmłodszych lekarzy wyższego paryskiego świata, który obchodził się z nim jak z rozpieszczonem dzieckiem, był mężczyzną trzydziestoletnim, wysokiego wzrostu, smukłym i zgrabnym, ubranym z wytworną elegancyą. Przy powierzchowności salonowca posiadał on ciało o stalowych muskułach, wygimnastykowane, sprężyste, zahartowane w sportach wszelkiego rodzaju. Wszystko dyszało w nim siłą, energią, postanowieniem. Wzrok, którego dziwny blask trudno było znieść, wyrażał zuchwałą odwagę. Twarde jego rysy twarzy zmiękczał czarujący uśmiech, pełen nieskończonej słodyczy. Dzięki temu sprawiał wrażenie bardzo sympatyczne.

— Zdaje mi się — rzekł doktor Vanesco, patrząc z uśmiechem na Barsaca — że panu się dziś nie powiodło. Widać to z pańskiej twarzy, mój drogi reporterze! Niech się pan przyzna!

— Ba! mówiąc poprostu straciłem cały ranek — odparł Barsac z przygnębieniem. — Niech pan sobie wyobrazi... I opowiedział doktorowi o całym szeregu swych niepowodzeń. Nie zdobył materyału na trzy wiersze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polityczne morderstwo.

Walka, tocząca się między Włochami i Turcyą, zaczyna szerokiem echem rozlegać się także po morzu Śródziemnem. Wyspy morza Egejskiego, tworzącego część morza Śródziemnego między Grecyą, a wybrzeżami Azyi Mniejszej, mają w najbliższym czasie stanowić nowy teren operacyi wojennych włoskich. Są one zamieszkałe przez ludność grecką i turecką i w znacznej części podlegają zwierzchnictwu tureckiemu. O ile ludność turecka z obawą oczekuje włoskich ataków, o tyle ludność grecka z chęcią widziałaby fakt zajęcia wysp przez Włochów.

Na tle tego nastroju rozegrał się ostatni krwawy dramat na wyspie Samos, którego ofiarą padł książe Samosu Andrzej Kopassis. Wyspa Samos od r. 1832 znajduje się pod władzą turecką. Rządy sprawuje nad nią książę, mianowany przez Wysoką Portę. W r. 1908 został zarządcą Samosu książe Kopassis, który zaprowadził na wyspie ład i ukrócił trochę prawa ludności greckiej. Aby tem spokojniej módz rządy sprawować, sprowadził na wyspę oddział wojska tureckiego, przez to jednak oburzył na siebie ludność grecką. Wyrazem tego właśnie oburzenia był zamach na księcia. Zamachu dokonał Grek Stawro Varidos w stolicy Samosu Vathy, w chwili, kiedy książe powracał z kościoła do pałacu. Morderca strzelił do księcia pięć razy z rewolweru. Trzy kule trafiły i zraniły księcia tak ciężko, iż na drugi dzień życie zakończył. Sprawcę zamachu policya turecka aresztowała, ale niewątpliwie działał on z ramienia szeroko rozgałęzionego spisku, który dał o sobie znać i po uwięzieniu Varidosa. Mianowicie w kilka dni po zamachu spiskowcy spalili doszczętnie pałac, który posiadał książe Samosu w Konstantynopolu.

Książe Kopassis ożeniony był z Wiedenką, córką byłego gen. konsula austryackiego w Konstantynopolu hr. Chiari'ego, a siostrą wiceadmirała austryackiego. Małżeństwo to było bezdzietne.

Następcą ks. Kopassisa na Samos został wali Trebisontu, Peglery. Jest on z pochodzenia Grekiem, a rząd turecki ma zamiar w ten sposób zjednać sobie znowu ludność grecką wyspy. Wobec rozpocząć się mającej akcyi Włochów na morzu Egejskiem, jest to sprawa bardzo ważna.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę zabitego księcia.



Polityczne morderstwo: Andrzej Kopassis, książę wyspy Samos, zamordowany przez greckiego rewolucyonistę.



Śnieżyce w kwietniu: Lwów podczas świąt wielkanocnych. (Do art. na str. 2).
(Fot. M. Münz, Lwów).



Pociąg w rzece: Przewrócone wagony pociągu ekspressowego, kursującego pomiędzy New-Yorkiem a Chicago, na lodzie rzeki Hudson.

Kronika tygodniowa.

Swięta, święta i po świętach.

Aniśmy się oglądnęli, wracamy do szarzyzny codziennego życia, z tem przecież miłem przeświadczeniem, iż chyba teraz poprawi się pogoda, która przez ostatnie dni wielkiego tygodnia i początek świąt dała nam się porządnie we znaki.

Nikt nie chciał wierzyć przepowiedniom górali, iż na Wielkanoc będziemy mieć śnieg, tymczasem pokazało się, że są z nich meteorologowie lepsi, niż nawet kwalifikowani.

A nie był to zwyczajny śnieg, ale prawdziwa śnieżyca w całem tego słowa znaczeniu, połączona z gwałtownym huraganem, jednem słowem aura, o której się powiada: dyabeł się żeni.

We wschodniej Galicyi gwałtowna burza wyrządziła ogromne szkody i stała się przyczyną kilku katastrof, Lwów przez dwa dni był odcięty od reszty Europy. W Krakowie skończyło się, dzięki Bogu, na przewróceniu kilku parkanów, zdarciu blachy z kilku dachów i wyrwaniu na plantacyach kilku drzew z korzeniami. Pogoda tego rodzaju przyczyniła się natomiast do ożywienia ruchu świątecznego w zaciszu domowego ogniska (jeśli tak wolno mi się wyrazić) i podniesienia nastroju, przeciętny bowiem obywatel nie pokazywał nawet nosa na świat, ale na łonie rodziny spożywał w spokoju i skupieniu ducha dary Boże, skrapiając je obficie sokiem jagód winnych lub wyciągiem z chmielu. Przyczyniło się to po części i do wydatniejszego, niż po inne lata, poparcia przemysłu krajowego. każdy bowiem, przeczuwając szarugę, zaopatrywał się w większą ilość rozmaitych płynów „rozweselających".

Skoro wilgoć na polu, niech będzie wilgoć i w żołądkach.

Biuro statystyczne nie opracowało jeszcze wykazu spożytych w tym czasie specyałów, będzie on w każdym razie wcale poważny, co znów świadczy o dobrobycie społeczeństwa i przesadzie w narzekaniu na ciężkie czasy. Natomiast poświąteczny ruch w aptekach był słabszy niż zazwyczaj, tłumaczymy sobie zaś ten objaw podrożeniem leków, więc między innymi i oleju rycynowego.

Oficyalnych przyjęć było stosunkowo mało, nawet krakowska demokracya, aczkolwiek po skonsolidowaniu wzmocniona należycie, nie urządziła tradycyjnego święconego, tłumacząc się drożyzną jajek.

Jako prawowierny Krakowianin wybrałem się naturalnie w drugi dzień świąt z całą rodziną na Emaus. Ruch kolosalny, do ożywienia jego przyczyniają się kwestujące panie. Co pięć kroków napotykam na trzęsącą puszką filantropkę, wydzieram więc w bok, aby i tutaj natrafić na drugą, nieopodal i na trzecią. Pogoda dopisała, zabawa była więc jak się patrzy.

We wtorek, choć to już właściwie dzień powszedni, pociągnęliśmy pomimo gwałtownego wiatru na Podgórze, aby wziąć udział także i w „Rękawce". Jeśli się bawić, to już całą gębą, zwłaszcza, że to niewiele kosztuje.

Podgórzanie patrzą na nas krzywem okiem, jakby przeczuwali, że przyszliśmy tutaj, aby na własne oczy zobaczyć, jak wygląda najmłodsza z dzielnic Wielkiego Krakowa.

Dzisiejsza Rękawka nie przypomina przecież wcale dawnej, z przed lat dwudziestu. Ludziska drapią się wprawdzie z przyzwyczajenia „na Benedykta", brak jednak tego urozmaicenia i emocyi, jakich dostarczało rozbijanie śmierdzących jajek o głowy całego legionu żebraków różnego wieku i autoramentu.

Owe historyczne: „Górą panocku! Górą!" przeszły już niestety do tradycyi, wspominając sobie te gromady pauprów przewracających się i podstawiających sobie nawzajem nogę w pogoni za suchą bułką lub pomarańczą, mimowoli przywodzimy na myśl naszych posłów, ubiegających się o mandat do sejmu i parlamentu.

Pozostaje jeszcze w przewodni poniedziałek święcone na Kleparzu, a święta będą definitywnie ukończone, pozostanie po nich jeno mgliste wspomnienie, jak po uroczym śnie i deficyt w budżecie domowym, który trzeba jakoś załatać.

Tak samo spotkaliśmy się w tym tygodniu z pozostałościami po *prima aprilisie* Dziennikarze skorzystali zeń w sposób bardzo dowcipny.

Wiadomo mianowicie, że dziennikarskie nożyce, to aparat ogromnie bezwzględny, tną na wszystkie strony bez litości i są częstokroć przyczyną arcypociesznych kawałów. Tak było i w tym roku akurat około pierwszego kwietnia.

W różnych pismach krakowskich i lwowskich pojawiły się wiadomości o otwarciu trzeciego mostu we Warszawie, o spalaniu węgla pod powierzchnią ziemi i odprowadzaniu na zewnątrz gazów, aby je zastosować potem do celów przemysłowych, ba nawet o konserwowaniu jajek metodą profesora Keinera.

Artykuły te powtórzono w zupełnie dobrej myśli, gdy się jednak połapano, że nożyczki puszczono zbyt energicznie w ruch, zrobiono wesołą minę i oświadczono z tryumfem:

— A to wzięliśmy was na kawał!... choć właściwie powinno się było powiedzieć: — A to daliśmy się wziąć na kawał!

Dzięki Bogu był jednak w zanadrzu *prima aprilis*, więc na niego zwalono całą winę.

Tak samo postąpią sobie niezawodnie i galicyjscy Ukraińcy, którzy niechybnie katastrofy, wywołane śnieżycą we wschodniej Galicyi zapiszą na konto polskiej intrygi. Jasne to przecież, jak słońce w dniu 17 kwietnia, to jest w dniu zupełnego zaćmienia, które jednak u nas w Galicyi w myśl reskryptu c. k. namiestnictwa nie będzie absolutnie widzialnem. W Galicyi zachodniej był względny spokój, a tu przecież zamieszkują przeważnie Polacy, oni więc stosunkami swymi postarali się o to u referenta pogody, iż śnieżyca nawiedziła tylko „zachodnią Ukrainę", jak się w naukowych nawet rozprawach nazywa część Galicyi od Zbrucza aż po San.

Na pierwszem zaraz posiedzeniu parlamentu wystosują ruscy posłowie zapytanie do prezydenta ministrów, co Wysoki Rząd zamierza uczynić, aby na przyszłość nie dopuścić do czegoś podobnego. Jeśli ma być orkan, niech będzie w obu połowach Galicyi, a jeszcze byłoby odpowiedniejszem, gdyby go można było ograniczyć tylko na zachodnią.

Wszak i strejk w szkołach średnich galicyjskich wywołany został tylko dzięki Polakom, którzy ruszyli bij zabij na Czornyja za to, iż tenże sprzedawał kartki, przedstawiające podobizny bohaterów narodowych, Gonty i Żeleźniaka. Rada szkolna krajowa, idąca Polakom zawsze na rękę, wykluczyła go zupełnie niewinnie i przyczyniła się tem samem do zniszczenia tej gałęzi przemysłu krajowego, nic jednak nie zdziałała, gdyż i tak będzie on miał swój pomnik, a pamięć jego w narodzie nie zaginie.

Centralny rząd tu i ówdzie robi wprawdzie „perskie oko" w stronę Ukrainy, przemożni Polacy paraliżują jednak wszelkie dobre chęci. Jeden jedyny poseł Breiter, a czasem i socyaliści ujmują się za uciśnionymi „Tyrolczykami Wschodu", to jednak nie wystarcza. Nie będzie dobrze, dopóki Galicyi nie rozdzieli się na dwie połowy, wschodnią pod rządami ruskimi i zachodnią, którą ostatecznie w drodze łaski zostawić można będzie na jakiś czas Polakom.

Czy to jednak prędko nastąpi, o tem dotąd nie wie ani baron Wassilko, ani pan Łewyckyj, ani Budzynowskyj, ani Petryćkyj, ani nawet pan Staruch, zwłaszcza że sytuacya z każdym dniem staje się coraz niewyraźniejsza.

Austryacki parlament, który po feryach świątecznych zabierze się znowu do dalszej pracy, pozbawiony jest stałej i silnej większości, o co napróżno ubiegał się już baron Bienerth, a po nim kontynuuje te starania z tym samym skutkiem hr. Stürgkh. Jeśli wierzyć wywodom *Neue freie Presse*, która obecnie stanowi miejsce wywnętrzania się dla polityków austryackich, a nawet dla prezesa Koła polskiego, austryacki premier zabiera się do stworzenia większości, która ma być, według jego własnych słów, „opartą na szerszych podstawach", a nazywać się większościową pracy. W skład jej mają wejść członkowie Ni mieckiego Związku Narodowego, chrześcijańsko społeczni, Polacy, Czesi i południowi Słowianie.

Sympatyczny zespół, przypominający najzupełniej arkę praojca naszego bł. pam. Noego, taka tu różnorodność i rozmaitość, zwłaszcza, że spodziewani są jeszcze Włosi po załatwieniu kwestyi uniwersyteckiej i Rusini po uporządkowaniu ich stosunku do Polaków, w czem pragnąłby dopomódz Wiedeń, jak już zresztą wspominałem kilka razy, kokietujący ich głównie w osobie barona Wassilki, gdyż do reszty jakoś nie ma zaufania.

Wogóle pan hr. Stürgkh zbyt różowo zapatruje się na sytuacyę, jeśli myśli, że we Wiedniu załatwi się spór polsko ruski, na to bowiem koncesye, jakich wymagają Rusini, nawet Koło polskie w obecnym swym bardzo lojalnym składzie zgodzić się nie może, a nawet nie śmie.

A Czesi i Niemcy?... Toż to także ogień i woda! Ustępstwo dla jednych, to obraza drugiej narodowości. Dużo wobec tego upłynie jeszcze wody w Dunaju i Wełtawie, zanim obydwa te stronnictwa przystąpią wspólnie do „pozytywnej pracy", a według zapowiedzi hr. Stürgkha ma nią być przedewszystkiem przeprowadzenie ustawy wojskowej i reformy finansów. Na resztę spraw przyjdzie kolej w dalszym ciągu.

Tyle dowiedzieliśmy się z artykułu *Neue freie Presse*, która wysłała swego specyalnego sprawozdawcę, aby odbył wywiad z austryackim prezydentem gabinetu. Kończy on się powątpiewaniem, czy hr. Stürgkh przeprowadzi to, co zamierza i zapowiedzią, że „dłużej czekać nie możemy"... co się równa propozycyi, by był łaskaw zacząć pakować swe kufry i robić miejsce następcy.

W tymże sympatycznym organie z *Fichtegasse*, odnoszącym się względem Polaków bardzo „przyjaźnie" i „sprawiedliwie", umieścił pan prezydent Koła polskiego, Leo, artykuł, w którym porusza myśl nowej organizacyi finansów państwowych w ich stosunku do krajów, które oddawna zamykają z zasady swe budżety deficytem, gdyż ich środki finansowe nie stoją w żadnym stosunku do ogromu zadań, przekazanych autonomii w myśl konstytucyi.

Wracając jeszcze do hr. Stürgkha i jego prób około utworzenia „większości pracy", wyrazić należy powątpiewanie w jej sprawność i przypuścić raczej, że zrobi takie fiasco, jak owo stronnictwo pracy na Węgrzech, które dotąd właściwie nic nie zdziałało.

Epilogiem będzie dymisya różnych wielkości, których upadek przypomni deszcz gwiaździsty, obserwowany u nas zazwyczaj w pierwszych dniach sierpnia.

Do tego rodzaju niespodzianek przyzwyczailiśmy się już zupełnie, niema przecież dnia, w którymby telegramy nie doniosły o jakiejś dymisyi, spodziewanej dopiero, lub już ogłoszonej, i to tak z tej, jak i z tamtej strony Litawy.

I tam sytuacya jest strasznie ciemną, daleko ciemniejszą nawet, niż u nas. Spór pomiędzy Koroną a sejmem przybrał ostre formy, a spowodowany został nieoględnością i słabem wyszkoleniem politycznem hr. Khuena Hederwarego.

Na porządku dziennym każdej sesyi sejmowej znajduje się tam sprawa reformy wyborczej. Od lat wielu tłucze się ona po różnych biurach, komisyach i ankietach, nie może się jednak doczekać w żaden sposób zrealizowania. a to z tego prostego powodu, iż rodowici Węgrzy (?) nie chcą się w żaden sposób zgodzić na przyznanie równouprawnienia politycznego innym narodowościom, wiedzą bowiem, że wówczas zginęliby w morzu słowiańskiem. Opierają się też wprowadzeniu reformy wyborczej, ile mają tylko sił.

Aby bodaj na chwilę odwrócić uwagę publiczną, wysunięto niefortunnie sprawę praw Korony co do powoływania do służby i zatrzymywania w niej rezerw wojskowych, przewidzianą zresztą i wyraźnie określoną przez ustawy zasadnicze.

Sejm węgierski, ilekroć chodzi o koncesye narodowe w sprawach wojskowych, jest po prostu nienasyconym, wiedziano więc, że chwyci się tego punktu rękami i nogami, a zapomni tymczasem o reformie. Nie uwzględniono jednak, że Korona nie może pozostać bezczynną i pozwolić na gwałcenie konstytucyi.

Wytworzył się zamęt, węgierscy politycy potracili wszyscy głowy i teraz dopiero sami nie wiedzą, czego chcieli.

Na zakończenie celem osłodzenia tych gorzkości słodka pigułeczka, sporządzona w mem laboratoryum politycznem. Na mężczyzn podziała ona uspokajająco, niewiasty może trochę podrażni.

Otóż angielska Izba gmin odrzuciła projekt dopuszczenia kobiet do urny wyborczej 222 głosami przeciw 208.

A dobrze im tak! Mogły mnie słuchać!...

Pociąg w rzece.

Koleje amerykańskie są słynne na całym świecie z dwóch właściwości: bajecznej szybkości pociągów i olbrzymich, prawdziwie „amerykańskich“ katastrof. Nigdzie z pewnością niema tyle katastrof kolejowych, co w Ameryce. Przyczynia się do tego przedewszystkiem zupełne lekceważenie bezpieczeństwa przy budowie i eksploatowaniu tych kolei. Tor kolejowy nie jest tam ani strzeżony, ani chroniony. Rampy na przejazdach drogowych są w Ameryce



Lwowski profesor matematyki tenorem opery paryskiej: Jan Majerski, art. Wielkiej Opery w Paryżu.

rzeczą zupełnie nieznaną, to też nieraz zdarza się, że na liniach prowadzących przez stepy nagle drogę pociągowi zagradzają trzody, lub też wozy, przejeżdżające bez ceremonii przez tory. Również dróżnicy, przeznaczeni do strzeżenia torów, znajdują się tylko przy ważniejszych punktach, jak mosty, tunele i t. p.

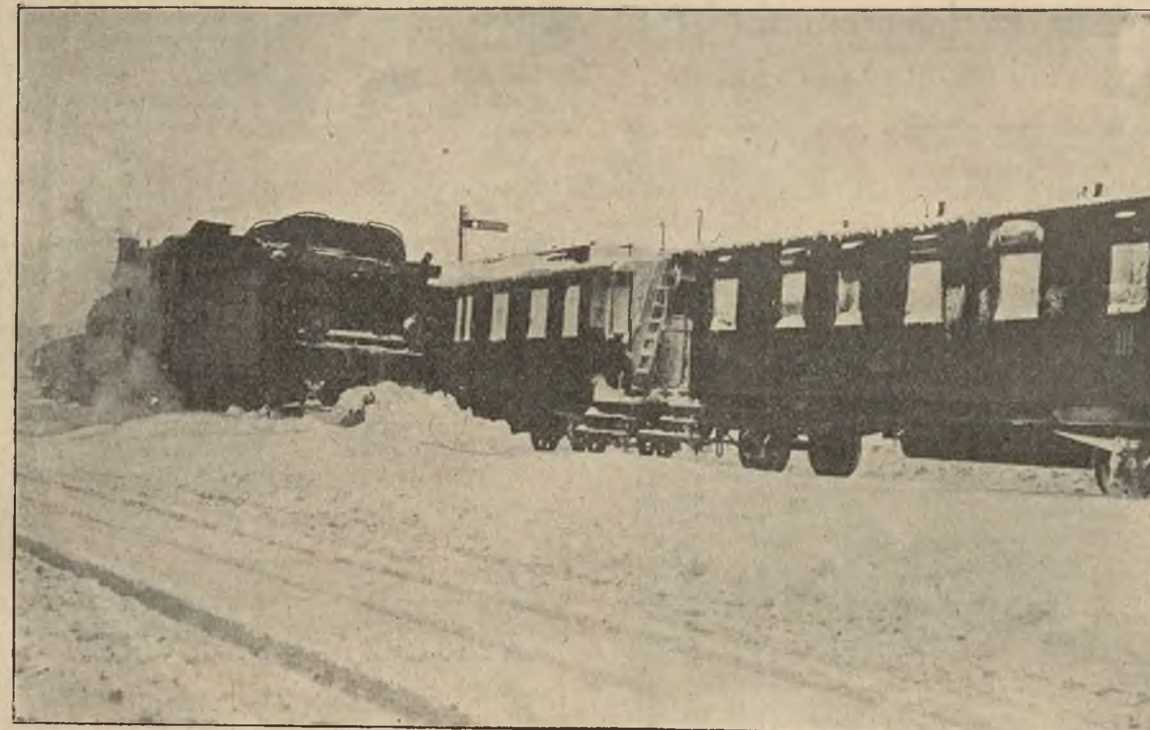
W takich warunkach katastrofy są wprost nie-



Śnieżyce w kwietniu: Część dachu 6 cio-piętrowego młyna parowego A. Fränkla w Przemyślu, rzucona wichrą na drzewa, odległe o 100 metrów.
Fot. M. Todt, Przemyśl.

uniknione. Przybierają one dosyć często wielkie rozmiary, gdyż pociągi, które są znacznie większe niż europejskie, zarówno co do budowy wagonów, jak i długości, pędzą zwykle z ogromną szybkością, wedle zasady, że „czas to pieniądz“.

Jedna z takich katastrof wydarzyła się przed



Śnieżyce w kwietniu: Pociąg w śniegu pod Lwowem. (Do art. na str. 2).
(Fot. M. Münz, Lwów).

kilkunastu dniami na linii kolejowej między Nowym Yorkiem a Chicago. Mianowicie wykoleił się jeden z najszybszych pociągów ekspressowych, nale-



Śnieżyce w kwietniu: Wojsko uprząta śnieg we Lwowie. (Do art. na str. 2.)
Fot. M. Münz, Lwów.

żący do kompanii kolejowej New York Central Railway. Powodem katastrofy, która wydarzyła się koło miejscowości Poughkeepsie, było pęknięcie starej szyny. Pięć wagonów, wyrzuconych z toru z wielką siłą, stoczyło się z nasypu kolejowego do rzeki Hudson, pokrytej lodem. Czterdzieści osób zostało poranionych, między nimi kilkanaście odniosło ciężkie okaleczenia.



Śnieżyce w kwietniu: Drzewo, przewrócone wichurą kwietniową na plantach krakowskich, u wylotu ulicy Zwierzynieckiej. (Do art. na str. 2.)

Lwowski profesor matematyki tenorem opery paryskiej.

Karyery artystyczne, szczególniej śpiewackie, chodzą nieobliczalnemi drogami, sprawiając niespodzianki przewidywaniom ludzkim. Świeżym tego przykładem



Z teatru poznańskiego: Wanda Jakubowska w roli „Joanny d'Arc".

jest karyera tenora bohaterskiego, p. Jana Majerskiego, świeżo zaangażowanego do opery paryskiej wprost z uczelni znakomitego mistrza polskiego w Paryżu, Jana Reszkiego.

P. Jan Majerski już na ławie szkolnej zdradzał niezwykły talent śpiewacki i muzyczny, jako uczeń gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, gdzie śpiewu uczył znany pedagog wokalista prof. St. Bursa. Po ukończeniu gimnazyum, idąc za wolą ojca, zapisał się p. Majerski na wydział matematyczny uniwersytetu lwowskiego, a po ukończeniu studyów, objął suplenturę w I szkole realnej we Lwowie. W ciągu studyów uniwersyteckich nie przestawał jednak zajmować się muzyką, poświęcając się systematycznej nauce śpiewu. Pobyt we Lwowie Batistiniego — który obiecującego tenora zabrał do Włoch, zadecydował ostatecznie o karyerze p. Majerskiego, który za poradą Batistiniego udał się na dalszą naukę do Paryża. Tam Reszke i jego znakomita metoda osiągnęła w ciągu dwóch lat tak znakomite rezultaty, iż p. Majerskiego zaangażowano do opery paryskiej na stanowisko pierwszorzędne, młodemu bowiem śpiewakowi — którego równocześnie zamianowano *membre de l'Academie Nationalle de Musique* — polecono przyswoić sobie wszystkie partye z zakresu bohaterskiego.

Młodego śpiewaka polskiego, którego przed zaangażowaniem do opery paryskiej starano się pozyskać do Petersburga i Buenos Aires, czeka piękna karyera, którą rozpocznie pierwszym występem w maju r. b.

Z teatru poznańskiego.

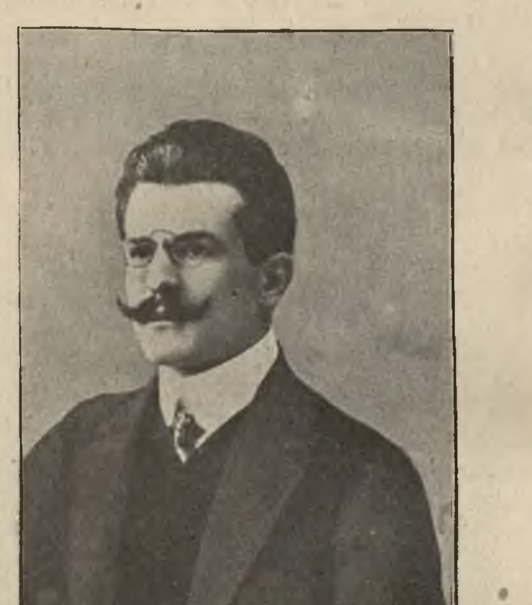
W teatrze poznańskim odbył się niedawno debiut niezwykle utalentowanej, młodej artystki dramatycznej, panny Wandy Jakubowskiej. Uczennica warszawskiej szkoły aplikacyjnej, występująca przez krótki czas na scenie wileńskiej, p. Jakubowska zdobyła w Poznaniu najzupełniejszy sukces u publiczności, oraz niezwykle pochlebne i obszerne, jak na debiutantkę, oceny całej prasy miejscowej. Za pole do popisu obrała rolę tytułową w „Dziewicy Orleańskiej" Schillera, wkładając w kreacyę prawdę, siłę i życie. Warunki zewnętrzne, silny, metaliczny, głęboki głos o dramatycznem napięciu, inteligencya w pojęciu i przeprowadzeniu konsekwentnem odtwarzanej postaci, znaczna umiejętność sceniczna, mimo stawiania dopiero pierwszych kroków na scenie, a przytem brak wszelkiej przesady — złożyły się razem na zapewnienie powodzenia debiutu, oraz pozwalają rokować młodej artystce jaknajlepsze nadzieje. Panna Jakubowska pochodzi z Galicyi.

Kradzież czy pomyłka?

W jednym z poprzednich numerów zamieściliśmy podobiznę niejakiego Wasyla Dikija, który zbiegł z Warszawy, zabrawszy zamieszkałej tam p. Zofii Grobickiej 3 obligacye renty państwowej na sumę 55 000 rubli i wartościową kolię brylantową. Dikija, który pochodzi z Galicyi, aresztowano niebawem w Wiedniu. Uwięziono również we Lwowie jego brata, Marcina, który za zezwoleniem Namiestnictwa zmienił swe rodowe nazwisko na Doszycki. Jakkolwiek policya tutejsza prowadzi dochodzenia przeciw obu braciom w kierunku kradzieży, poszkodowana p. Grobicka, której podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, uważa całą tę aferę tylko za jakieś nieporozumienie, wywołane postronnemi intrygami... Nie ma też do Wasyla Dikija żadnych pretensyi, jest bowiem przekonaną, że młodzieniec ten, prawie dziecko, pełniący u niej funkcyę sekretarza, wyjechał z Warszawy za namową osób trzecich, a papiery i kosztowności zabrał przez... pomyłkę. P. Grobicka obdarzała go też tak wielkiem zaufaniem, że powierzała mu do przechowania większe nawet sumy...

Czy przychylna opinia p. Grobickiej o jej zbiegłym sekretarzu wywrze jaki wpływ na postępowanie władz sądowych, trudno obecnie przesądzać, gdyż śledztwo jest obecnie w toku...

W tej całej sprawie jest jednak najciekawszy fakt, iż dotychczas niewiadomo, co się stało z zabranymi przez Dikija papierami wartościowymi i kolią brylantową... P. Grobicka wyznaczyła nawet nagrodę temu, kto tę zagadkę wyjaśni... Sekretarz jej



Kradzież czy pomyłka: Aresztowany we Lwowie Marcin Doszycki, recte Dikij.

bowiem, Wasyli Dikij, nie może tego uczynić, bo dotychczas, tak samo, jak i jego brat Doszycki, przebywa w więzieniu.

Nowe wykopaliska w Pompei.

(Do illustracyi na str. 10).

W roku 79 po Narodzeniu Chrystusa straszny wybuch Wezuwiusza zniszczył doszczętnie bogate i handlowe miasto w Kampanii, Pompei... Gruba warstwa lawy wulkanicznej zasypała zupełnie to miasto, które znikło z powierzchni ziemi i którego życie zamarło w jednej chwili. Dzięki jednak tej strasznej katastrofie, nauka pozyskała wielką skarbnicę doskonale przechowanych pomników starożytnego świata rzymskiego. Prowadzone od r. 1748 roboty około odkopania Pompei zostały uwieńczone niezwykle pomyślnym rezultatem. Odkopano całe ulice i domy z doskonale zachowanem urządzeniem wewnętrznem, a wykopaliska te są nieocenionym skarbem dla archeologów. Roboty około odkopania



Kradzież czy pomyłka: Zofia Aleksandra z Miłkowskich Grobicka.

Pompei wznowiono obecnie z wielkim nakładem pracy i zdołano odkopać kilka nowych fragmentów z zasypanego miasta, rzucających ciekawe światło na życie dawnych Rzymian.

Robotami kieruje dyrektor narodowego muzeum w Neapolu Wiktor Spinazzola. Między innymi cennymi zabytkami odkryto szereg sklepów doskonale zachowanych, a między nimi jeden, który zwraca specyalnie uwagę. Jest to bowiem w całem tego słowa znaczeniu bar, podobny do tych, jakie od niedawna weszły w modę w wielkich miastach.

Doskonale zachowany jest tam piec specyalny, służący do grzania potraw oraz znaczna ilość naczyń i flaszek. Zachowane jest także dosyć dobrze urządzenie sklepu, składające się z ław i stołów kamiennych.

Na ścianie odkryto malowidła freskowe, przedstawiające 12 bóstw olimpijskich i kapłanów.

W innym znowu domu odkryto szkielety całej rodziny, którą lawa pochłonęła w ucieczce. Mąż i żona leżą obok siebie, trzymając się za ręce, zaś obok nich leży dwoje dziewcząt w uścisku. Dalej zaś znaleziono szkielety dwóch sług domowych.

Illustracye nasze przedstawiają te nowe wykopaliska w Pompei: dobrze zachowaną ulicę oraz fragment balkonu i dobrze zachowane szyldy sklepowe.

Kącik humorystyczny.

Do pana X., namiętnego przeciwnika Eleuteryi, zawezwano lekarza, który rozpoznał u niego zapalenie płuc i kazał postawić pijawki.

Gdy się o tem dowiedział pacyent, zawołał oburzony:

— Nie! Na coś podobnego nie pozwolę nigdy! Biedne zwierzęta zginą marnie z powodu zatrucia alkoholem!... Co na to powiedziałoby Towarzystwo ochrony zwierząt! Gotowi mnie wykreślić z listy członków!...

NADESŁANE.

Nowa kombinacya ubezpieczenia na życie Tow. wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Tow. wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie wprowadziło w dziale ubezpieczeń na życie nową kombinacyę, oznaczoną tablicą XVIII, wedle której za opłatą bardzo niskiej premii ubezpieczony kapitał wypłaconym będzie po śmierci ubezpieczonego w umówionych z góry ratach.

Ubezpieczenie zawarte według tej kombinacyi nadaje się więc dla osób, nie mogących płacić wysokich premii, a pragnących umożliwić wychowanie i odpowiednie wykształcenie dzieci w razie przedwczesnej śmierci rodziny. Wypłata pewnej stałej kwoty przez szereg lat umożliwi lub ułatwi przygotowanie pozostałych dzieci do przyszłego zawodu i zdobycia przez nie lepszej pozycyi społecznej.

Koszt takiego ubezpieczenia jest znacznie niższym od kosztu ubezpieczenia kapitału płatnego w całości po śmierci ubezpieczonego, co ułatwia osobom posiadającym nawet bardzo małe dochody, spełnienie obowiązku co do zaopatrzenia rodziny na wypadek śmierci. Niskość premii wykazuje następujący przykład:

Osoba 30-letnia, ubezpieczając kapitał K. 5000, płatnych w 20 równych ratach rocznych, począwszy od chwili śmierci ubezpieczonego, płacić będzie rocznie K. 93·50, kwartalnie K 24·38, miesięcznie K. 8·26, czyli dziennie (przy miesięcznej opłacie premii) zaledwie 27½ halerzy.

Powyższa premia obniży się jeszcze, począwszy od 5 roku trwania ubezpieczenia, wskutek wypłaconej członkom Towarzystwa dywidendy, która za rok 1910 wynosiła 10% rocznej premii.

Korzyści tej kombinacyi ubezpieczenia przyczynić się do jak największego rozszerzenia się jej w naszem społeczeństwie, zwłaszcza, iż także i ogólne warunki ubezpieczeń na życie w Krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń zmienione zostały w duchu nowoczesnych potrzeb i wymagań.

O coraz większem zrozumieniu potrzeby ubezpieczeń życiowych w naszem społeczeństwie świadczy stały rozwój ubezpieczeń w Towarzystwie Krakowskiem. Premie w Dziale ubezpieczeń na życie wynosiły:

w roku 1900 K 2,997.035
„ „ 1910 „ 4,914.745

Fundusze gwaracyjne Towarzystwa w Dziale życiowym wynosiły:

w roku 1900 K 22,180.471
„ „ 1910 „ 37,265.049

Silny wzrost tych funduszów dowodzi, iż Towarzystwo nie tylko szybko się rozwija, ale, że także przez gromadzenie zasobów daje wszelkie dla ubezpieczonych gwarancye. Zwiększające się ciągle zasoby Towarzystwa przynoszą nadto ubezpieczonym wielkie korzyści, albowiem one przyczyniają się w znacznej mierze do wzrostu stopy dywidendowej, która w Dziale życiowym stale wzrasta. I tak n. p. dywidendy wynosiła w procentach rocznej premii:

za rok	w dziale ubez. pośmiertnych	w dziale ubezp. na dożywocie
1900	5%	2%
1905	8%	5%
1910	10%	10%

Leczenie epilepsyi! Minęły już dwa lata, jak moja córka Pański „Epilepticon" używała i w przeciągu tego czasu nie miała żadnego napadu; dziękuję Panu serdecznie za to, gdyż piórem nie zdołam opisać mej radości, odkąd moja córkka wyzdrowiała. Także i cztery inne osoby wskutek mego polecenia tegoż środka epileptycznego zostały wyleczone. Z poważaniem *J. W.*

Do nabycia w aptekach. Główny skład dla Galicyi i Bukowiny: Apteka F. Gralewskiego, Kraków, ul. Szczepańska 1/109.

PIERWSZORZĘDNA
KAWIARNIA TEATRALNA
W STYLU RENESANSOWYM
W. Woźniaka w Krakowie
vis à vis Teatru Miejskiego (tuż przy planta yach).
Lokal otwarty do godz. 2 w nocy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Zadanie konikowe:

O wiosno, kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju..
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna..
Ja ciebie d tąd widzę, piękna maro senna!

Szarada: Babka.

Łam główka:

Kosy
rosa
zola
ryby
kras
wasz
tort
obol
fort
samo
trup
bosa
lipa
ikar
nike
kres
krak
wall

Bilety wizytowe: Redaktor pisma. Wiolonczelista. Agentka Singera

Rebus: Rodzice kochają swe dzieci zawsze, a i dzieci rodziców też czasem.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Misiewicz Kołomyja, S. Karwowski Krosno, R. Kinalski Rzeszów, M. Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków, A Siatka Kraków, K. Radoszewski Mielec, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Roland Prądnik Czerwony, S. Kowalówka Kraków, K. Zegartowska Bogucice, R. Domański Lwów, A. Gołębiowski Warszawa, K. Biliński Złoczów, J. Antosz Bochnia, H. Broda Rzeszów, J. Trepka Radom, I Zerygiewicz Stanisławów. J Kotowicz Lwów, H Gruszczyńska Sanok, M Medyński Zakopane, F. Łopatkiewicz Jasło, J. Wacławik Kraków, A Lisowska Jasło, K Balicki Czerniowce, D Fink Przemyśl, S Nowacki Tarnów, M. Kozłowska Rzeszów, J. Krawecki Drohobycz, A Bandrowski Częstochowa, J Świrski Sanok, S Kwaśniewski Przemyśl, R Turoń Kraków. H Tyszecki Warszawa. M. Więckowska Grodno, S Kalinowski Kalisz, J. Cichocki Płock, M Pokorska Stanisławów, J Jaglarz Kraków, T. Mazaraki Sandomierz, E. Niestenberger Kraków, R Patlewicz Rzeszów, F. Horak Oświęcim, J. Radwan Warszawa, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, S. Dzikowska Tarnów, J Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Kraków, A. Gralewski Kraków, J Kamiński Lwów, H Kozicka Łódź, A Trzeciak Stanisławów, T. Nikiel Rozwadów, K. Nowak Podgórze, J. Jaworski Sanok, E. Ostrowski Lwów, L Bogacki Piotrków, A. Dożak Kraków, S. Łopatyński Kamieniec, J. Topolnicki Lwów, S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Radom, K Stojowski Halicz, S. Sokołowski Bochnia, S. Karczmarski Poddębie, S Kryżanowski Podgórze, K. Dębiński Jasło, W. Łapiński Lwów, R. Szymanowski Jaworów, A Kadulski Kraków, H Galińska Krosno, J. Better Lwów, M. Wilkosz Kraków, E. Stankiewicz Sambor, L. Radomski Sandomierz. K. Bartoszewski Lwów, J. Osada Piotrków, H. Kozłowski Krosno. J. Roth Stanisławów, H. Piątek Podwołoczyska, F. Schmidt Kraków, S. Wojczyński Warszawa, M. Klappholz Rzeszów. F. Blätterfeind Kołomyja, R. Garczyński Lwów, K. Sauer Sambor, J Pick Warszawa, L Obst Łódź, J. Chmurowicz Kraków, S Lindenbaum Czerniowce, Z Gliński Lwów, J. Leszczyński Rozwadów, H Berger Lwów, S Wiewiórowski Przemyśl, J. Obraczay Morawska Ostrawa, W. Potocka Kraków, H. Lech Kraków, P. Madejski Kraków, D Michalski Sosnowiec, A. Kozicka Lwów, J. Zachara Kraków, S. Wyka Rzeszów. H Sosnowska Sanok, J. Trojacki Wiedeń, J Jahoda Cieszyn, H. Wilczkiewicz Jasło, H Scholz Staszów, K. Bernatowicz Lisko, C. Janik Rzeszów, J Solecka Zakopane, D. Rosenbaum Tarnobrzeg, Z Michalski Kraków, E Sawiczewska Warszawa, K Rylski Poznań, H. Srokowska Zamość, J. Linderska Lwów, M. Sługocka Kraków, A. Zawada Rzeszów, J. Baziak Lwów, S. Lichański Kołomyja, W. Rapacz Bolęcin, M. Arbesbauer Lwów, K Szumańska Rawa Ruska, J. Łojczyk Mielec, K Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Stankiewicz, Sambor.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Jan Piwowoński, Gorzów: Rozwiązanie Pańskie zapisane jest pod Nr. 876 Redakcya „Zur Lust und Lehre" znajduje się w Warszawie w księgarni M. Borkowskiego, Marszałkowska L 97 Sprowadzać można przez każdą księgarnię.

WP. Franciszek Palla, Zebrzydowice: Prenumerata półroczna zapłacona, czek dołączyła administracya przez pomyłkę

WP. Helena Harasowska w Krowicy: Prosimy uprzejmie spojrzeć na Nr 802

WP. K. Romaszkanowa, Szubrańce: Zwracamy uwagę na Nr 512

WP. K. Hołubasz, Kopyczyńce: Zaspokoi Pan swą ciekawość zaglądnąwszy pod Nr. 508.

Z półek księgarskich.

Z Komitetu obywatelskiego w Tarnobrzegu dla sprawy Ferdynanda Kurasia: Nakładem Komitetu ukazało się drugie wydanie dziełka Ferdynanda Kurasia p. t. „Tatarzy w Sandomierzu", dwie legendy wierszem opowiedziane, z przedmową Zygmunta Kolasińskiego, z portretem poety i 6 illustracyami w tekście Cena egzemplarza broszurowanego 50 hal. Czysty dochód z wydawnictwa przeznaczony na Dar Narodowy w postaci zagrody włościańskiej dla poety F Kurasia. Do nabycia w składzie głównym w księgarni Gebethnera i Ski, oraz we wszystkich księgarniach.

Ze świata kobiecego.



Suknia domowa, z granatowego lekkiego szewiotu, kamizeleczka i kołnierz z białego sukna, przy rękawach koronka. Na ramionach złoty galon, frendzla złota przy szarfie.

Tafta.

„Co Francuz wymyśli — to Polak polubi"... Orzeczenie to wyszło z ust poważniejszych niż moje i właśnie w zastosowaniu do mody. Bo też jest to dziedzina, bardziej niż inne dająca zaszczepiać na sobie przeróżne dziwolągi. Bezkrytycyzm w przyjmowaniu wszystkiego, co wymyślą nad Sekwaną, jest wprost przerażającym. Bez względu na różnicę klimatu, bądź co bądź znaczną, nosi się w Krakowie i Warszawie to samo w marcu lub kwietniu, co w tejże porze noszonem jest przez paryżanki. Oto dlatego widujemy już na ulicy suknie taftowe i kapelusze z tangali lub słomy. Ta skłonność do strojenia się niezgodnego z prawami przyrody zwiększa się z każdym rokiem; to też narażając się nawet na określenie „zacofanej" nie przestanę protestować przeciw nierozumowi mody, szczególniej gdy doradza noszenie materyałów letnich zimą; zaś futra i kapelusze aksamitne latem. Choć to bardziej jest jeszcze uzasadnionem niż pierwsze; nawet w najcieplejsze lato trafiają się dni dżdżyste, ranki zamglone, lub chłodne wieczory, przedewszystkiem zaś szczególniej w górach i nad morzem dokuczliwe wiatry, przed którymi kołnierz lub szal futrzany są bardzo wskazanym puklerzem. Podobnież przybranie leciuchnym paskiem bobrów lub skungsów sukni z gazy lub jedwabnego muślinu, nie ogrzeje jej, a nada śliczny kontrast toalecie. Tymczasem słoma pozostanie zawsze czemś suchem, sztywnem, co nie sharmonizuje się nigdy z białością śniegu, lub mglistością szarugi wiosennej.

To samo tafty; robią one wrażenie czegoś suchego i sztywnego, pomimo właściwej im lekkości; nie akcentujmy przeto oschłości obecnych pejsaży.

Gdy przyroda ubierze się w wesołą zieleń, gdy porozwiesza festony pnących roślin, wówczas tafty będą równie powabnym kontrastem, jak rąbek futra przy balowej toalecie.

To też przepowiadają taftom pierwszeństwo wśród materyj, jakie mają się nosić tej wiosny; będą one służyły równie na kostyumy, jak i suknie spacerowe; dzierżyć będą palmę pierwszeństwa na polach wyścigowych, walkach kwiatów i zabawach ogrodowych.

Korzystając z różnorodności barw, jakie posiadają tafty, sfery miarodajne przepisują pewne kolory i fasony jako właściwe w niektórem zastosowaniu.

Tak więc na kostyumy używać się będą tafty, tak zwane *glacé* mieniące: czarne z niebieskim, czarne z zielonem, bordeaux z czarnem, a także barwa jedna, zupełnie nowa i wyszukana, mieniąca, dająca ton między niebieskim a kolorem, na ogół już zarzuconym, któremu babki nasze dały nazwę — mordorowy.

Spódnice przybierane będą riuszami, bardzo różnorodnemi w fasonie; żakiety krótkie z przodu, wydłużone baskinowo z tyłu, przybrane również riuszami, oraz rewerami.

W sukniach spacerowych przeważać będzie fason *Restauration*, także przybierane riuszkami i krótkiemi frendzlami, które podnosić będą stylowy charakter tych toalet.

Ale nosić też będziemy spódnice z trzema falbanami, powłóczyste, haftowane lub dziergane; stanik do takiej sukni przystrajany bywa chusteczką *Marie Antoinette* i wąskim paskiem w odmiennej barwie.

Widziałam także toalety z tafty turkusowej przy której pasek był w kolorze *géranium* (czerwony — pelargoniowy).

Wieczorowe tafty kroić się będą w fasonie *dworskim*: tren płaszczowy rzucony na suknię z gazy. Różowa tafta mieniąca z żółtem lub niebieska z seledynowym, wreszcie lila z błękitnem.

To co napisałam wyżej nie dowodzi jednakże, abyśmy zrywali z sukniami obcisłemi, spowijającymi kształty w sposób tak zachwycający. Przeciwnie, kobieta prawdziwie pięknie zbudowana będzie hołdowała temu fasonowi, który nawet tafcie odejmie coś z jej pozornej sztywności.

Ramo.



Skromna suknia wizytowa. Suknia z popielatej bengaliny, wyszyta sutaszem *vieux-bleu*, pasek z jedwabiu w tymże kolorze, przechodzący w rever na spódnicy.

GASTON LUXERO.

BALAOO

24)

Balaoo sam zdawał się nie wiedzieć o tem.

Doszli wreszcie do polany Pierrefeu.

Balaoo doprowadził swego pana do wielkiego buka i wskazał mu, jak ma wejść na drzewo. Coriolis posłusznie wdrapał się, nie pytając o nic i nie dziwiąc się niczemu. Na pewnej wysokości znajdowała się dziupla, służąca za mieszkanie Balaoo, i opatrzona w drzwi.

Coriolis pchnął drzwi i ujrzał Magdalenę, leżącą na posłaniu z suchych liści i przykrytą kocem, który niegdyś skradziono mu z powozu.

Magdalena była śmiertelnie blada, ale żyła. Zbudzona stuknięciem drzwi, otworzyła oczy i wyszeptała blademi wargami:

— Ojciec!

Coriolis padł przed córką na kolana, podniósł jej głowę i przycisnął ją do serca, łkając:

— Daruj! Daruj!

— Co ci mam darować ojcze? Czy Balaoo nic ci nie powiedział? Uściskaj go... to on mnie uratował.

Coriolis, zdumiony, patrzył kolejno na córkę i wychowanka, który, stojąc w drzwiach, odwrócił głowę, by nie widziano łez, płynących po jego twarzy.

— Jakto? On ciebie ocalił?

Wówczas Magdalena, otoczywszy ramionami szyję ojca, opowiedziała mu straszną historyę porwania przez Eljasza Vautrin, albinosa.

. . . .

Bracia Vautrin, skazani na śmierć, wyrzuceni za nawias społeczeństwa, żyli w lesie, jak dzikie zwierzęta.

Ale podczas gdy Hubert i Szymon spędzali czas na jedzeniu, piciu i wypoczynku w głębi swej nory, w sercu Eljasza odżywało od czasu do czasu wspomnienie białej postaci, którą ujrzał niegdyś, wracając o świcie z nocnego polowania. Żyła jeszcze w jego wyobraźni, do czego nie przyznawał się braciom. Błądząc jak szakal, dookoła wsi, w których po dawnemu wraz z braćmi dokonywał rabunków, Eljasz dowiedział się o bliskim przyjeździe do Clermont-Ferrand Magdaleny z mężem. Nie mówiąc nic braciom, udał się do Clermont, sprawdził tam otrzymaną wiadomość i pojechał do Moulins. Postanowił porwać Magdalenę, zanim dojedzie do domu swego męża. Plan jego był prosty. Chciał zaczekać na nią w Moulins, wsiąść tam do pociągu i na pierwszej lepszej stacyjce lub nawet wprost przy zwolnieniu pociągu w jednem z miejsc, które znał dobrze, porwawszy Magdalenę, wyskoczyć z nią z pociągu. Wypadki jednak dziwnym zbiegiem okoliczności dopomogły mu.

W Moulins zobaczył wychodzącą Magdalenę z mężem. W pierwszej chwili chciał się rzucić na nią i porwać ją na peronie z pośród tłumu podróżnych. I byłby może uczynił to, ale Magdalena przeszła szybko, wsparta na ramieniu Patryka.

Wszedł do hotelu tuż za nimi, ale od strony podwórza. Po chwili w jednem z okien zabłysło światło i Eljasz ujrzał sylwetkę Magdaleny. W kilka minut później była już w jego objęciach; zamknął jej usta dłonią i na wpół martwą wrzucił do wózka. Z początku jechał jakiś czas w stronę Paryża, przez co zmylił ślady pogoni. Później bocznemi drogami powoli i z wielką ostrożnością zdążał do Czarnych Lasów. Przez całą drogę nie przemówił do Magdaleny ani razu, zmuszając ją jedynie do jedzenia i picia. Magdalena spodziewała się, że ją odbiją, zanim dostaną się do lasu, ale las zamknął się za niemi, a pomoc nie nadeszła.

Hubert i Szymon w milczeniu przyjęli Eljasza i jego zdobycz. Eljasz rzekł:

— Oto jest moja żona, żona Eljasza z Moabitu.

Tamci patrzyli na nią płonącemi oczami i Magdalena zrozumiała, że trzej bracia będą walczyli o nią i że zostanie nagrodą zwycięzcy.

Wówczas poczęła krzyczeć z całych sił:

— Balaoo! Balaoo!

I Balaoo zjawił się.

I rozpoczęła się straszna bitwa. Balaoo walczył z trzema braćmi, dawnymi swymi przyjaciółmi, w obronie swej pani. Las cały grzmiał odgłosami tej walki olbrzymów. Bracia strzelali doń, ale ołów nie był w stanie powalić małpoluda. Wówczas chwycili strzelby za lufy i rzucili się z nimi na obrońcę Magdaleny. Balaoo wyrwał z korzeniem młode drzewko i walił niem bez wytchnienia, bił po głowach, ramionach, łamał ręce, przetrącał nogi. Ale braci Vautrin nie można zabić jednem uderzeniem. Zalani krwią, rozwścieczeni, skakali wkoło Balaoo, jak niedźwiedzie. A Balaoo, wywijając swą straszliwą maczugą, bronił się, napadał i bił coraz mocniej, coraz potężniej... Wreszcie skończyło się... trzej bracia martwi, nieruchomi, leżą z rozkrzyżowanemi rękami na trawie, zlanej krwią. Wówczas Balaoo wziął na ręce Magdalenę i zaniósł ją do swej kryjówki.

Coriolis płakał podczas tego opowiadania. Balaoo miał oczy pełne łez.

Magdalena rzekła z westchnieniem:

— Trzeba go prosić o przebaczenie, ojcze. Skrzywdziliśmy go, postępując z nim, jak z dzikim. Powiedział mi: „Chciałem cię zobaczyć jeszcze raz przed odjazdem, Magdaleno! Dlaczego bałaś się mnie? Zawsze byłem i będę ci wiernym". Oto, co powiedział mi. Prawda, Balaoo?

Balaoo skinął potakująco głową, ale nie był w stanie przemówić słowa. Czuł burzę, zrywającą się w piersiach, burzę bólu i rozpaczy i wstydził się okazać, jak bardzo cierpi. Wiedział, że Coriolis przybył, żeby zabrać Magdalenę — sam wezwał go na jej żądanie, sam chodził nadawać depeszę, narażając się na poznanie przez matkę Toussaint, która dotąd nie przebaczyła mu sukni cesarzowej.

. . . .

I Magdalena odjechała. Coriolis odwiózł ją do męża i miał powrócić za parę dni. Balaoo odprowadził ich do granicy lasów, pożegnał się i stał później długo nieruchomy, ze zwieszoną głową, skamieniały z bólu. Potem powrócił do swej kryjówki, rzucił się na posłanie z liści i leżał tak bez najmniejszego poruszenia przez dwa dni i dwie noce. Gdy Coriolis powrócił, zastał go siedzącego na progu. Wyglądał jak suchotnik.

Coriolis postanowił na jakiś czas zamieszkać w lesie, żeby uciec od ludzi, którymi pogardzał i których teraz, wobec hałasu, jakiego narobiły dzienniki, obawiał się. Dalszych planów żadnych nie miał, chciał na razie tylko rozproszyć smutek swego wychowanka. Przechadzał się z nim po lesie i żeby go rozerwać, opowiadał o przygodach Gabryela.

Ale Balaoo słuchał obojętnie, powracając wciąż w rozmowie do Magdaleny. Wreszcie wyznał, że chce umrzeć.

— Tak, chcę umrzeć... umrzeć tutaj w tym lesie, gdzie tak często słyszałem jej słodki głos, wołający „Balaoo! Balaoo!" Największą moją radością teraz będzie, jeśli potrafię rozpoznać drzewa, pod któremi siadywała ze mną, opowiadając mi różne historye... Tak, tutaj umrę.

Po pięciu dniach Balaoo położył się i Coriolisowi zdawało się, ze już nie powstanie.

Kiedy pewnego poranku obudził się, ujrzał przy sobie Gertrudę i Zoe. Nie zdziwił się wcale, ani rozgniewał. Co więcej, pozwolił Gertrudzie uściskać się, a Zoe przeprosił za wszystko, co od niego wycierpiała. Był bardzo łagodny i pozwolił się pielęgnować dwom kobietom. Był bardzo osłabiony. Coriolis, który go nie odstępował, chociaż sam ledwie trzymał się na nogach, spróbował środka, jaki podsunęła mu, wiedziona intuicyą, Zoe.

Pochylił się nad chorym i wyszeptał mu do ucha jedno słowo:

— Bandang!...

Oczy Balaoo ożywiły się natychmiast, odetchnął głęboko, wyprostował się i powtórzył:

— Bandang.

Wówczas Zoe rzekła:

— Czy chcesz, Balaoo, czy chcesz powrócić do swego lasu Bandang?

— O! — odparł z głębokiem westchnieniem — o! uciekajmy stąd! Wróćmy do mego lasu Bandang!

Coriolis nie wahał się dłużej. Był to ostatni ratunek nie tylko dla Balaoo, ale i dla wszystkich, a zwłaszcza dla samego Coriolisa. Zoe przywiozła bardzo złe wiadomości. Prefekt policyi paryskiej, pan Delafosse, po dłuższym namyśle przyszedł do przekonania, że pogromu wojska podczas sławnego oblężenia Czarnych Lasów mógł dokonać tylko małpolud Coriolisa. Wdrożono surowe śledztwo i rozkazano szukać uczonego i jego strasznego wychowanka. Trzeba więc było uciekać.

Przebyli bez przeszkody granice lasów, wsiedli do pociągu, dotarli do oceanu i ukryli się na statku, który miał ich zawieźć do krainy Balaoo.

. . . .

EPILOG.

Balaoo był uratowany w dniu, kiedy stanął na ziemi, gdzie się urodził, w lesie Bandang. Las ten rozpoczynał się o trzy dni marszu od Batawii. Przy grupie olbrzymich tysiącletnich magnolii Balaoo zatrzymał swych towarzyszy.

— Tu — rzekł — ostatni raz widziałem się z moją matką. To jest las Bandang! Tu bawiłem się z mem rodzeństwem i tu ludzie schwytali mnie w sieć! Ach! czy zobaczę kiedy moich rodziców i rodzeństwo!

W tem miejscu osiadła mała kolonia. Balaoo zbudował u stóp magnolii parę szałasów i poczęli żyć spokojnem życiem.

Gertruda szybko postarzała się i zniedołężniała, nie ruszała się też prawie z szałasu i robiła wciąż na drutach skarpetki, których Balaoo nie nosił.

Zoe usługiwała i stawała się coraz dziksza. Mówiła do Balaoo tylko w trzeciej osobie. Zapomniała o modach paryskich i ubierała się w liście.

Coriolis odzwyczaił się zupełnie od ludzkiego języka i posługiwał się w mowie jedynie kilku monosylabami antropoidów, czuł sam z jakiemś cierpkiem zadowoleniem, że powraca do stanu pierwotnego.

Jeden tylko Balaoo zachował całą prawie cywilizacyę, przejętą od ludzi. Co pół roku chodził do Batawii po listy od Magdaleny — i czytał „Pawła i Wirginię".

Żył ciągle z myślą o swej młodej pani i to dopomagało mu w zachowaniu cywilizacyi ludzkiej. Zresztą nie był z tego wcale dumny. Obcował chętnie z mieszkańcami lasu, który powoli poczęli się zbliżać do nowych przybyszów. W wiosenne wieczory bracia leśni Balaoo zgromadzali się koło niego, a on im opowiadał o życiu ludzi.

— Zwierzęta są to zwierzęta — mówił językiem małpim — bogowie są to bogowie, ale ludzie, to nie wiadomo, co!...

— Ostatecznie — dodawał, wkładając, zwyczajem małpoludów, palce w nos — ludzie, to nieudani bogowie!

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.

Ułożył Cz. Kozłowski Warszawa.

tak	dzwo	pio	bu	dwa	tak	jak	ku
na	wio	sztu	ni	sen	nie	drąż	by
za	nie	zgi	w	czne	ły	ka	trą
nę	zna	złą	ce	nie	cze	ło	ki
rze	ny	ska	nę	rącz	rę	by	jesz
trąb	ła	obu	czył	pol	ła	u	po
stru	de	trynm	ne	ne	rzył	ny	mo
marsz	i z	że	u	fal	sięż	tęć	de

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

L o t o, g r o g, f e z, c i s i.

Szarada.

Ułożył M. Wojniłów.

Czasami to sprawa, choć *pierwsza i druga*
Tak idzie jak *pierwsza wspak*, a nie jest długa,
I nie jest powodem pracy *drugie-trzecie*
Że się tak opóźnia choć ją skończyć chcecie.
Więc może to *całość* jest tego przyczyna,
Zwłaszcza, gdy masz randkę z milutką dziewczyną,
Za którą przeskoczyć warto choćby *trzecie*,
Lub skoczyć w żar ognia! Sądzę, że zgadniecie!

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Z liter pierwszego biletu ułożyć zatrudnienie tej osoby, drugi poda nam nazwisko miejscowości w Galicyi zachodniej i kwitnącego w niej przemysłu.

ROMAN ST. KOPOCILSKI

ERAZM K. PLATWICKI
Mysłowice

Szarada.

Ułożył M. Wojniłów.

Pierwsza w liter rzędzie
Druga rzeką będzie,
Pierwsza z trzecią, to ptak dziki,
W *całości* gwar, śpiewy, a czasem i krzyki.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przesłowie:

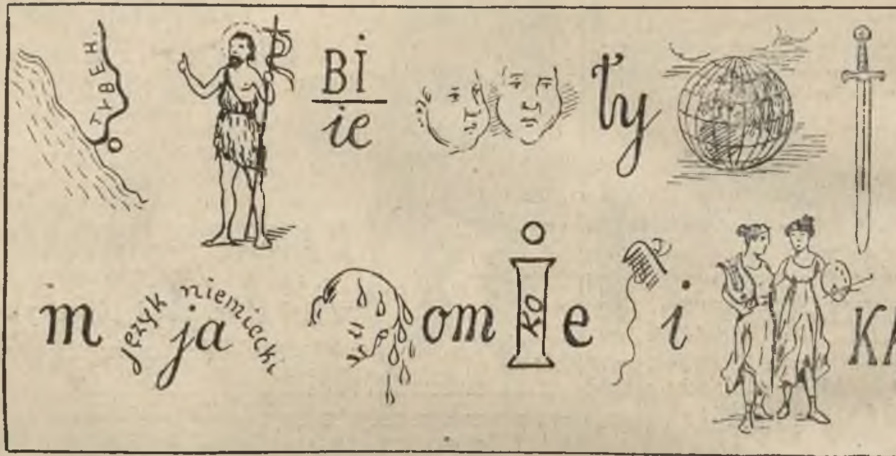
A t a m a n. Ł a b a, z a p a ł, t r z y, z e z, r y k, t y r a n, a z o t, ł z a, k a t.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Bolęcin.

W *trzeciem-pierwszem* mieście,
Demonstrantów dwieście
Węgrom bobu daje.
Policaje
Wpadli na nich.. Grad kamieni
Się posypał, już się pieni
Madziarska krew...
Drugiego-trzeciego ma ten i ów już
Górą miasto *całość!* Węgrze, broń złóż
Świta zaranie,
I wnet powstanie
Chorwacki lew!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Rodziewiczówny*: **Błękitni.** Powieść. 2 tomy.



Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.